Ossolineum
Biblioteka

MR. WINCH (BUSH HOUSE

Nr. 42 (84) DZIŚ 6 STRON CENA (PRICE) 9d.

Wiadomości Polskie

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

THE
POLISH NEWS
WEEKLY

W NUMERZE:

Jan Lechoń: Fragment dramatyczny. — **Zygmunt Nowakowski:** Fundusz prawdziwej kultury narodowej. — Wprowadzamy dział „Camera obscura". — **Adam Pragier:** Polityka ukraińska Piłsudskiego. Mińsk–Borysów–Kijów. — **Juljusz Grot:** Arthura Rimbauda podróż do piekieł. — **Florjan Sokołów:** Anglja a Sowiety. — **Zbigniew Grabowski:** Wśród książek. — **Wiktor Budzyński:** Śpiewająca wyspa. — Virginia Cowles o Polsce. — **Alfa:** Rozmaitości. — Korespondencja. — Czytelnicy o „Wiadomościach Polskich". — Odwaga cywilna a swoboda prasy. — Konkurs na sztukę. — Skarbnica Polska. **Adam Mickiewicz:** Niezgody emigracji naszej. Kilka słów o jej ruchach. **Stanisław Wyspiański:** O czci dla bohaterów. **Wespazjan Kochowski:** Nagrobek mężnym żołnierzom. **Stefan Witwicki:** Do sosny polskiej. **Władysław Syrokomla:** Litwa. **Stefan Żeromski:** Pokusa. **Cyprjan Norwid:** Byron. Fraszki.

ROK II — NR. 42 (84) — LONDYN
NIEDZIELA 19 PAŹDZIERNIKA 1941

REDAKCJA
229/231, HIGH HOLBORN LONDON, W.C.1
Telefon: CHANCERY 6128
ADMINISTRACIA
9, NEW OXFORD ST., LONDON, W.C.1
Telefon: HOLBORN 0868
PRENUMERATA
kwartalnie
w Anglji .. .. 9s. 9d.
w innych krajach $2.25

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać czekiem lub „Postal Order" na zlecenie:
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

JAN LECHOŃ

FRAGMENT DRAMATYCZNY *)

Scena przedstawia zbocze Wawelu w chwili pogrzebu Piłsudskiego. Tłum (chłopi w sukmanach i miejska ciżba marynarkowa, w której zrzadka widać kogoś znacznego), zgromadzony pod pomnikiem Kościuszki, patrzy w dół na zbliżający się pogrzeb. Co chwila słychać dochodzące z dołu szumy, co chwila ktoś wychyla się by lepiej widzieć.

PIERWSZY Z TŁUMU

O tam, patrz, Pétain idzie ! Ten mundur błękitny.
Patrz dobrze, bo to jakby jakiś starożytny
Bohater przeszedł tędy, i nie wiem czy wielu
Jest wśród tych, którzy tutaj leżą na Wawelu,
Któryby mógł mu zrównać swemi zwycięstwami.

DRUGI Z TŁUMU

A ten za nim, patrz, Laval. Mówiąc między nami,
Francja co ma najlepsze dziś do nas przysłała,
Ale cóż ! nam tak pycha rozum pomieszała,
Że na wszystkich wokoło zadzieramy głowę
I nic nie jest nam dobre, co nie jest krajowe.

TRZECI Z TŁUMU

Że też pan nawet teraz bajać ma ochotę.

CZWARTY Z TŁUMU

Patrz w dół na tę płynącą jak morze piechotę
I pomyśl, czemu patrzysz załzawionym wzrokiem.
Czyś ty kiedy pomyślał przed czternastym rokiem,
Gdyś płakał, Wyspiańskiego odczytując karty,
Czy pamiętasz ten okrzyk : „Anno, to pułk czwarty" ?
Pragnąłeś, lecz czyś wierzył, że to jest możliwe,
Że zobaczysz to wojsko tak jak teraz — żywe,
Jakby z pieśni poetów naszych zmartwychwstałe ?
Za szybko ci się wszystko zdaje zrozumiałe
Co jest, kiedy pomyślisz, nad ludzkie pojęcie !
Patrz na tę kawalerję, o tam ! na zakręcie !
To pierwszy szwoleżerów ! To ułański trzeci !
Te wszystkie w wolnej Polsce wychowane dzieci,
To przecież ożywiona książka dla młodzieży.
Czy myślisz, że to wszystko tobie się należy ?

TRZECI Z TŁUMU

Tak myślę, i to znaczy, że ja wolność czuję.

PIERWSZY Z TŁUMU

Cicho panowie ! Kondukt na Wawel wstępuje.

GŁOSY

Proszę się nie pchać !—Trudno. Miejsca więcej niema.

CZWARTY Z TŁUMU

Tak samo jak my dzisiaj, przed wiekami trzema
Tu pod zamkiem wawelskim ludzie jak my stali,
Czekając aż się działa odezwą z oddali
I obwieszczą na całe wielkie polskie państwo,
Że Jan trzeci pod Wiedniem zbawił chrześcijaństwo,
I jak my dziś, tak stali tu kiedyś w żałobie—
Teraz, tom nagle oto uświadomił sobie —
Ci, co nieśli na Wawel Batorego trumnę
I spod Pskowa w milczeniu wiedli znaki dumne
Tą samą, co my nasze spod Warszawy drogą.
Nieszczęśliwi, co tego teraz czuć nie mogą,
Biedny ten, co tu stoi jako zimny świadek
I myśli, że to tylko niezwykły wypadek
I nie czuje przeszłości i przyszłości w sobie.
Nigdym, naprawdę nigdy nie był mniej w żałobie
Niż w tej chwili gdy dzwony w całej Polsce biją.
To wielka, prosta prawda, że umarli żyją.

PIĄTY Z TŁUMU

Oby się tak tym razem i na zawsze stało.
Widzę przecież jak wszyscy, że to martwe ciało
Jest jaką żywy nie był obdarzone władzą,
Lecz gdy już je piwnicom wawelskim oddadzą,
Gdy łzy oschną i przebrzmią wiersze obchodowe,
O serca się nie boję, lecz czy widzisz głowę
W którejby myśl się owa potężna zamknęła ?
Bo choć wszyscy mówimy, że te wielkie dzieła
Płynęły z Jego serca, co dla Polski biło,
Wszystkoby to już dawno smutno się skończyło,
Gdyby nie kazał sercu zamilknąć i krwawić.
Ja się lękam, że będziem Jego błogosławić,
Czcić, odchodzić i robić po dawnemu swoje.

Trudno ! To są już takie wieczne niepokoje
Tego, co nasze dzieje dokładnie pamięta.

TRZECI Z TŁUMU

Ja myślę, że ta sprawa już jest rozstrzygnięta
I że naszych przeznaczeń nic wstrzymać nie zdoła
I że ci wszyscy zmarli spod tego kościoła
Jest to tylko hymn piękny, w świąteczne dni brzmiący.
A my jesteśmy wielki kościół wojujący,
Który naszą historję każdej chwili tworzy.
Może być i napewno będzie nieraz gorzej
Ale przez to czyż mamy zwątpić w Polskę samą ?
Nic się tutaj nie kończy za wawelską bramą :
To tylko jedna gwiazda fantastyczna gaśnie,
Lecz są i mniejsze światła i one to właśnie
Swym blaskiem równomiernym w codzienne dni świecą,
Lecz gdy trzeba — jak piorun po niebiosach lecą.
Z nich to, z owych miljona serc i duchów skromnych
Rodzi się święty ogień w tych duszach ogromnych
I sen wielki, co w noce samotne ich budzi.
To są właśnie marzenia owych prostych ludzi,
Same przez się się w czynach wyzwolić niezdolne.
Uwierz wreszcie w Polaków ! To są duchy wolne,
Co nie zadrżą, gdzie inni ugną się stokrotnie.
To oni bezimienni ginęli samotnie,
Nie wiedząc, czy gdy wolność powróci znów dumna —
W tej Polsce dla ich kości będzie jakaś trumna.
Niech tedy umęczony po trudach i wojnie
Ten, którego tu niosą, zasypia spokojnie,
I można nawet Jego nie wzywać imienia,
Bo on teraz w każdego Polaka się zmienia
I każdy Jego ducha w swoją duszę bierze.
Nie patrz teraz na wojsko. My wszyscy żołnierze.

CZWARTY Z TŁUMU

Widzisz ! czoło orszaku już katedry sięga,
Już zwija się na wzgórzu biała księży wstęga,
Widzisz trumnę ! Patrz, trumna ! Biorą ją w ramiona,
I płynie jak monstrancja nad tłumem wzniesiona
I wpływa jako orzeł do katedry bramy.

PIĄTY Z TŁUMU

Żegnaj, żegnaj na zawsze ! My Ci przysięgamy
Tak czynić jakeś pragnął abyśmy czynili,
I naszą nędzną małość odpuść nam w tej chwili,
A reszta już do Boga, nie do nas należy.

PIERWSZY Z TŁUMU

Słyszycie ! To armaty !

TRZECI Z TŁUMU

I Zygmunt gra z wieży.

GŁOSY

Proszę się cofnąć ! Proszę ! Panowie na prawo !

PIERWSZY Z TŁUMU

Patrz ! Patrz ! To Göring ! Göring ! ten gruby z buławą.

SZÓSTY Z TŁUMU

Że też takiego gościa nikt teraz nie przegna.

SIÓDMY Z TŁUMU

Ja radzę, niech się każdy trzy razy przeżegna.

JAN LECHOŃ.

---

*) Z większej całości.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

FUNDUSZ PRAWDZIWEJ KULTURY NARODOWEJ

Czterech błękitnych podoficerów nawiedziło wczoraj mój ubogi, od pierwszego niezapłacony, flat. Chcieli załatwić sprawę na stojąco, ale przecież nakłoniłem ich, aby spoczęli, inaczej bowiem dzieci moje spać nie będą, pełno zaś tych „dzieci", t.j. skryptów, na krzesłach, na kanapie, na fotelu i gdzie tylko się da. Usiedli tedy, i najbardziej wygadany z gości, warszawiak (jakżeby mogło być inaczej!), zaczął swą rzecz pokrótce. Zatem przyszli we czterech, każdy zaś z innej jest eskadry myśliwskiej. Więc...

— Tylko niech się pan redaktor nie obrazi...

— O cóż miałbym obrazić się? Na panów!?

— Widzi pan, sprawa jest taka : my do polityki się nie wtrącamy. To nie nasza rzecz. My latamy. Od tego jesteśmy. Ale pan w ostatnich czasach... Jakby to powiedzieć... Panowie pewnie mają kłopoty...

— Niebardzo rozumiem?

— No, „Wiadomościom Polskim" cofnięto subwencję, więc panowie... Oczywiście, to sprawa rządu, nie nasza, powtarzam. Jednak my chcemy, żeby „Wiadomości" wychodziły i żeby panowie mieli spokojną głowę, zatem... Nie będziemy kradli czasu, bo pan doktór przy robocie. O, tu jest siedemnaście i pół funta, któreśmy zebrali między sobą.

To mówiąc, odliczył pieniądze i położył na stole. Tknął mnie paraliż krtani czy rodzaj tężca. Jeszcze nie rozumiejąc, spytałem, na co są te pieniądze.

— No, na „Wiadomości"! Żebyście panowie mieli mniej kłopotów! A jak będzie potrzeba, to jeszcze coś tam kiedyś przy sposobności dodamy.

Bóg najwyższy nie odmówił mi jakiego takiego daru wymowy, ale coś mi w gardle ugrzęzło. Ani we wte ani we wte. Pomyślałem sobie, że jest to chyba najpiękniejsze honorarjum, jakie spada na nas, pisarzy pracujących w „Wiadomościach". Lotnicy nam je płacą! Polscy lotnicy! Nic piękniejszego już nas chyba nie spotka w życiu. Kiedyś, strasznie dawno temu, przed trzema laty, poprosili mnie lekarze, bym wmurował pierwszą cegłę kliniki laryngologicznej w Krakowie, jako że ja feljetonem zbudowałem tę klinikę. Pewny byłem, że to chyba najwyższy tryumf, który może być udziałem pisarza, a tymczasem wizyta lotników dystansuje tamto zdarzenie, zapędzając je w kozi róg. Trzy lata temu byliśmy panami, wielkimi panami, dzisiaj każdy z nas jest dziadem ostatnim, sakramenckim, i oto ci podoficerowie-lotnicy dają nam, pisarzom polskim, subwencję. Gdy to opowiadam znajomym i kolegom, wzruszają się do łez. W tej subwencji jest gest! Jak gdyby król ściągnął z palca pierścień złoty i dał pisarzowi, pisarzowi jako takiemu.

Był coprawda niedawno list od pewnego oficera, także lotnika, z propozycją utworzenia towarzystwa akcyjnego i udziałów na wydawanie „Wiadomości", ale to już trochę inna kategorja, podczas gdy subwencja owych podoficerów nie mieści się wogóle w żadnych kategorjach. Przecież oni dosłownie odejmują sobie od ust! Chcą, żeby „Wiadomości" wychodziły bez kłopotów, chcą, żebyśmy mieli spokojną głowę!

— Widzi pan, panie doktorze, my latamy, latamy czasem i dwa razy dziennie, przez Kanał, na Francję, i jak człowiek wróci, chciałby przeczytać coś po polsku, po ludzku, dowiedzieć się, co panowie myślicie o różnych sprawach. No, i ta „Skarbnica Polska"! Wogóle...

Błękitno było w pokoju od dymu papierosów, od ich mundurów i od ich oczu. Jeden, jak się rzekło, warszawiak, dwóch krakowiaków i czwarty, najmłodszy, również znad Wisły, bo z Włocławka. No, więc i oczy muszą mieć także błękitne, rozumie się. Gadali o swych lotach, bez frazesów, bez przechwałek, gadali prosto, jako o rzeczy zwyczajnej, powszedniej. Gadali pysznym, pełnym plastyki i humoru językiem, ja zaś, mając język porażony, snułem w błękitnym dymie myśl, że subwencję cofnął nam urząd, noszący nazwę Fundusz Kultury Narodowej, a dzisiaj subwencję przynieśli mi — nie, nie „mi", tylko słowu, słowu polskiemu — sierżanci - lotnicy

Oni, lepiej niż uczeni, rozumieją, że na początku było, jest i będzie Słowo. Oni zdają sobie sprawę z tego, że na całej kuli ziemskiej „Wiadomości" są jednem jedynem pismem, poświęconem sprawie kultury i sztuki polskiej. Oni wiedzą, że teraz, gdy Niemcy i Rosjanie zdeptali każdy objaw polskiej kultury, wypada pomagać, zamiast rzucać kłody pod nogi. Gdy Fundusz Kultury chce przysporzyć kłopotów, doprowadzić do zamknięcia pisma, oni — podoficerowie - lotnicy — pragną, byśmy mieli mniej kłopotów. Patrzę na pieniądze i mówię sobie samemu, że to właśnie, jest funduszem kultury, ale prawdziwej kultury! Cóż za wspaniały kontrast !

— A ja pana dyrektora znam! — odzywa się milczący dotychczas podoficer-krakowiak.

— Skąd? Z Krakowa?

— Tak jest! Od Wencla.

— Od Wencla? „Pod Matką Boską"... Spotykaliśmy się tam?

— Nie, ja tam pracowałem, panie dyrektorze. Mój brat pracował w Grandzie, ja u Wencla.

Jeśli tytułuje mnie „dyrektorem", to znaczy, że zna mnie jak zły szeląg. Przeklęty tytuł „dyrektora" przylepił się do mnie na zawsze w tem mieście. Ale on pracował u Wencla, ja tam piłem, i dzisiaj, w Londynie... Jakże ja podziękuję tym błękitnym rycerzom? Na sucho im to ujść nie może, a tymczasem flat mój ubogi jest pod tym względem. Ani kropelki! Wszystko wyszło strasznie dawno temu, skończyło się od niepamiętnych czasów, a jeszcze wczoraj było pół butelki. Teraz dopiero pojmuję sens powiedzenia „Spiritus flat ubi vult"! Wstyd mi się zrobiło.

— No, my się już zabieramy! Cześć!

— Zaraz, zaraz! Sprawa zaczyna się od tego, że ja tych pieniędzy przyjąć nie mogę.

— Tego świństwa nam pan nie zrobi! Zresztą, my ich nie przyjmiemy z powrotem! Mowy niema!

Dodali jeszcze chórem słowo honoru, bijąc się w piersi, aż zagrzmiało, poprosiłem jednak o chwilę uwagi. „Wiadomości" narazie nie przymierają głodem. Coprawda, właśnie onegdaj przyszła jakaś paczka żywnościowa z Sydney, z Australji, od jakiegoś namiętnego czytelnika, który posłał nam, t.j. redakcji, przeróżne smakołyki, ale — powtarzam — my nie umieramy z głodu i zapewne nierychło umrzemy. Co więcej, ale to już całkiem poufnie, sytuacja pisma poprawiła się poważnie dzięki cofnięciu subwencji. Represja przyniosła skutki napewno niezamierzone. Fundusz Kultury jest w tym wypadku częścią „jener Kraft, die stets das Böse will, und stets das Gute schafft". No, mówiąc ściślej, nie „stets", ale od czasu do czasu, niechcący, przypadkiem. Lecz nam jest teraz odrobinę lżej niż było przed miesiącem. Może, może przy pomocy boskiej i ludzkiej, będzie jeszcze lepiej i potrafimy nawet związać koniec z końcem, choć do tego daleko. W każdym razie pieniędzy przyjąć nie mogę.

— Kiedy, panie redaktorze...

— Nie, nie przyjmę, choć zarazem nie zwrócę ich panom. Sam gest wasz jest zapłatą ponad naszą wartość i ponad zasługę.

Dziękuję panom w imieniu wszystkich, którzy pracują w „Wiadomościach", co się zaś tyczy pieniędzy, przeznaczę je, oczywiście, za zgodą panów, na pewien piękny cel, mianowicie na stypendjum...

— Aha, „Krwawy funt"! — szepnął jeden z mych gości.

— Właśnie! Stypendjum dla ucznia politechniki na dokończenie studjów z zakresu budowy samolotów. Zgoda?

Przyjęli wniosek przez aklamację, jakby to było posiedzenie rady gabinetowej, i rozmowa potoczyła się dalej. Głównie o Kraju. O wszystkich i o wszystkiem, co tam jest. Potem znowu o lotach powszednich, o współpracy z Anglikami. I znowuż o głodzie słowa polskiego, są to zaś ludzie nienasyceni. Mówili, a ja patrzyłem na list, który właśnie przyszedł z wojskowego Biura Propagandy i Oświaty. List w sprawie „Groźnego cienia" Conan Doyle'a, tłumaczący, dlaczego, kto, jak, w jakim celu i w jakich warunkach dał subwencję. Tę epistołę zamieszczamy lojalnie w niniejszym numerze, choć nikt i nic nie potrafi wytłumaczyć tego tłumaczenia, w jakiem podano Conan Doyle'a. Przekładu mógł dokonać chyba Żyd-wieczny tłumacz. Niema prawie strony, na której nie roiłoby się od potwornych błędów i nonsensów. Jeśli propaganda twierdzi, że nie dała subwencji lecz wzięła tylko w komis kilka tysięcy tego kolportażowego wydawnictwa, radziłbym słowo „komis" zastąpić „komizmem". Uśmiać się można serdecznie przy niektórych zwrotach. Np.: „Myślę, że nie zechcesz ustanawiać całego królestwa żab za moim nieszczęsnym kołnierzem..." (str. 25) ; albo : „ojciec wymierzał mi potężne uderzenie warząchwią, albo czem miał pod ręką, zwykle w ucho, które — razem z węgorzem — odrzucało mię gdzieś, aż pod kredens..." (str. 30), albo : „Odłożyłem na bok zmęczenie" (str. 81), albo : „...Oczy jego były na mnie" (str. 103), albo : „Jęk głuchy, mimowolny, wybiegł z jego warg zbielałych, zwiesił głowę na piersi, potem znów spojrzał na mnie..." (str. 103). Dam spokój cytatom, uważając, że wszystkie cztery zeszyty mogłyby in extenso być przedrukowane w naszej świeżo założonej „Camera obscura", zwrócę jednak uwagę na aktualne wydźwięki Conan Doyle'a. Jeśli propaganda wojskowa podkreśla wagę tych aktualjów, niech mi wolno będzie zacytować pewien passus nader charakterystyczny, a mówiący o wrogu : „...życie ich wydawało nam się tak pogodnem i pełnem prostoty, że ja osobiście naprzykład, zaczynałem nie rozumieć, czemu i za co nienawidziliśmy tych dobrych ludzi? I przyszedłem do wniosku, że w rzeczywistości, istotnym i jedynym przedmiotem nienawiści, był tylko człowiek, który nimi władał... cień jego znika z nad umęczonego kraju i z nim zniknąć powinny wrogie, dotychczasowe uczucia, zawitać przyjaźń i pokój" (str. 156).

Tu już nic dodać, nic ująć, chyba spytać jeszcze raz : „Propagando, kfo wadis?", jakby można było napisać, stosując się do pisowni wydanej przez tę samą propagandę, która przedrukowuje byle śmiecie, przyczem mówi skromnie, że „ani pochwała ani krytyka nie może nas dotyczyć". To wygodne, prawda? No, mówmy o czem innem.

Moi błękitni goście, już na wsiadanem, zaprosili mnie prywatnie w gościnę, skarżąc się że poza, zresztą doskonałą, „Lwowską Falą", nikt do nich nie przyjeżdża. Osobiście, nie aspiruję do występów odczytowych, ponieważ wiem, że jestem z przyczyn personalnych (a może perthonalnych) niepożądany, jak niepożądany jest np. dr. Grabowski i inni. Przeżyjemy i to. Gdy przed kilku miesiącami delegacja oficerów-lotników zaprosiła mnie na pewną piękną uroczystość, zamawiając sobie równocześnie jakąś orację, wyższa władza skreśliła ten punkt programu. Nie chcą nas, i koniec.

Ale...Ale nic nie może mi dzisiaj zepsuć humoru. Nawet „Cień" przestał być groźny. Jest już tylko śmieszny. Po wizycie tych podoficerów-lotników nagle zachciało mi się żyć. A nuż opłaci się? W każdym razie spróbuję.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

*

P.S. Pieniądze, siedemnaście i pół funta, przesłałem Stowarzyszeniu Techników Polskich, a nazwiska ofiarodawców zachowaliśmy w archiwum naszego pisma, przydadzą się bowiem z wszelką pewnością przyszłemu historykowi kultury.

Z. N.

Wprowadzamy dział

CAMERA OBSCURA

Prosimy czytelników „Wiadomości Polskich" o współpracę

CO TYDZIEŃ NAGRODA: £1

Zwracamy się do czytelników „Wiadomości Polskich" z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura", która ma na celu wytykanie wszelkiego rodzaju nonsensów, objawów ignorancji, niechlujstwa językowego, błędów stylistycznych i t.p., a to w celu, by „ridendo castigare mores...linguae". Prosimy o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materjałów, jak broszury, ulotki, czasopisma polskie (całe numery lub wycinki nie pozostawiające wątpliwości skąd pochodzą) z ustępami nadającemi się do „Camera obscura", pod adresem „Polish News", 229–231, High Holborn, London, W.C.1, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są konieczne. Do przesyłki należy dołączyć kartkę z imieniem, nazwiskiem i adresem wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materjału i zastrzega sobie prawo zużytkowania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz redakcja przeznacza co tydzień nagrodę w wysokości £1, którą może podzielić lub w razie braku odpowiedniego materjału przełożyć na następny tydzień.

ADAM PRAGIER

Polityka ukraińska Piłsudskiego

MIŃSK — BORYSÓW — KIJÓW

> *...nasze granice zachodnie zawdzięczamy Dmowskiemu. Nasze granice wschodnie — Piłsudskiemu. Nie udało mu się ich rozszerzyć dalej na wschód, nie udało mu się odzyskać naszej historycznej granicy sprzed r. 1772, ale jemu zawdzięczamy inicjatywę wojny z bolszewikami, jemu w tej wojnie zwycięstwo".*
>
> (Stanisław Mackiewicz: ,,Historja Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.")

Książka Stanisława Mackiewicza jest czemś w rodzaju nekrologu Drugiej Rzeczypospolitej. Tytuł jej ,,Historja Polski" brzmi dość niespodziewanie. Mackiewicz pisze, że uważa się niejako za malarza-miniaturzystę. W istocie, gdybym miał zastosować porównanie z zakresu plastyki, porównałbym tę książkę raczej do obrazu surrealistycznego, gdzie portretowanej osobie brak jest nosa i ucha, ale ma zato czworo oczu. Daje to nieraz wcale smaczne efekty i nie przeszkadza, że poszczególne części obrazu, choć wzajemnie nie skoordynowane, mogą być narysowane trafnie i przekonywająco. Pamiętać trzeba, że Mackiewicz jest od dość dawna ,,enfant terrible" publicystyki polskiej i zarazem konserwatyzmu obrządku wschodniego. Nie dziwi mnie jego sentyment dla Władysława Studnickiego. On sam jest w pewnym stopniu jak gdyby odmłodzonym Studnickim, w dodatku ulepszonym. Bo Studnicki miał jedną idée fixe: proniemiecką, którą rozwijał na różne sposoby, co wkońcu stawało się nudne. A Mackiewicz ma takich ,,idée fixe" kilka — niektóre z nich zabawnie anachroniczne — i podaje je z wdziękiem. Obok przyjemności bywa z tego i pożytek. Mackiewicz wypowiada nieraz prawdy, długo i sprytnie tajone przez mniej krewkich publicystów. Dla mnie te prawdy przeważnie nie są nowe, ale dobrze jest czasem móc powołać się na świadectwo pisarza obozu konserwatywnego. Dalekie są mi zamiary polemiczne. Pragnę korzystać z tej książki raczej jako czytelnik, który znalazł w niej obok wielu rzeczy przyjemnie kolorowych i niekoniecznie na serjo, także parę autentycznych stwierdzeń, nadających się do użycia oraz do podtrzymania własnych poglądów.

*

Polityka ukraińska Polski, szczególnie w okresie wyprawy kijowskiej, była polityką Piłsudskiego. W jej powikłanych nieraz linjach niepodobna się rozeznać bez orjentacji w myśleniu Piłsudskiego i w jego zamiarach. Zadanie to nie jest łatwe. Piłsudski zamiarów swoich chętnie nie ujawniał, a to co o tej sprawie mówiono i pisano, przyczyniało się raczej do powiększenia zamętu. W wyniku tego wszystkiego powstała legenda, która wygląda mniewięcej tak. — Bolszewicy w dążeniu do wzniecenia rewolucji światowej, po ujarzmieniu wszystkich narodów w Rosji, rzucili się na Polskę. Polska łącznie z demokratyczną Ukrainą Petlury prowadziła wojnę obronną pod hasłem ,,za naszą wolność i waszą". Niestety, Ukrainy nie zdołała oswobodzić. Zwycięstwo kijowskie i cud nad Wisłą udaremniły jednak zamiary zaborcze nieprzyjaciela i przyniosły Polsce zwycięski pokój.

Jak wygląda konfrontacja tej legendy z rzeczywistością?

Rewolucja rosyjska, zarówno w pierwszej fazie Kierenskiego jak i w późniejszej fazie bolszewickiej, miała te same dwa hasła naczelne: zniszczenie dawnego aparatu rządzącego, wyniesienie mas chłopskich i robotniczych na szczyt władzy w państwie. Realizacja rewolucji w sformułowaniu bolszewickiem, wzmocniła znacznie treść tych haseł i dodała jeszcze nowe, które zapewniło powodzenie obu poprzednim: niezwłoczny pokój. Dawne ziemie kresowe Rzeczypospolitej, Białoruś, Wołyń, Ukraina, objęte były przewrotem narówni z rdzennemi dzielnicami Rosji. Społeczna treść przewrotu była na tych ziemiach równie głęboka, metody działania równie stanowcze. Ostrze rewolucji zwracało się przeciwko aparatowi rządzącemu i przeciwko właścicielom wielkich obszarów rolnych, tak samo jak wszędzie w Rosji. Ale na kresach wielka własność ziemska należała od wieków przeważnie do Polaków. Z polskiej warstwy ziemiańskiej wyszła też spora część miejskiej inteligencji kresowej. W ten sposób Polacy na tych ziemiach znaleźli się odrazu twarzą w twarz z rewolucją chłopską. Byli w Rosji jeszcze inni Polacy, rozsiani w całem państwie: oficerowie i urzędnicy, inżynierowie i kierownicy wielkich przedsiębiorstw. W Królestwie Polaków nie dopuszczano do służby państwowej. W Cesarstwie, ci co chcieli służyć państwu zaborczemu, dochodzili bez trudu także do wyższych stanowisk. Przemysł rosyjski, świeży i pełen rozmachu, otwierał inżynierom i przemysłowcom polskim znaczne perspektywy. Ci wszyscy Polacy także czuli się zagrożeni przez rewolucję rosyjską. Nie było więc w państwie rosyjskiem żadnej osiadłej grupy społecznej polskiej, solidarnej z rewolucją. I naodwrót, rewolucja we wszystkich swoich celach i w całym swoim przebiegu zwracała się przeciwko nim. Dotychczasowe znaczenie grup polskich w Rosji i na kresach wynikało bądź z przywileju wielkiej własności ziemskiej, bądź z przynależności do uprzywilejowanych rosyjskich sfer rządzących. Te przywileje właśnie rewolucja niszczyła, i nikt nie mógł oczekiwać że będzie przez nią oszczędzony. Okoliczność, że Polacy należeli do warstw odgórnych a rewolucja szła od dołów, które nie były polskie, zaostrzała tu i ówdzie i zabarwiała swoiście zewnętrzną postać starcia, ale w niczem nie zmieniała jego treści.

Ten stan rzeczy tłumaczy dwa zjawiska z tego czasu, pozornie mało ze sobą związane, które nie pozostały bez wpływu na dalsze kształtowanie się stosunków polsko-rosyjskich: 1) ogół Polaków, osiadłych w Rosji i na kresach, zajął stanowisko nieprzyjazne wobec rewolucji; 2) bardzo znaczna część Polaków, zamieszkałych na tych ziemiach, śród nich wielu takich, którzy dotąd służyli chętnie państwu zaborczemu, poczuło naraz tęsknotę za Polską, znajdującą się wówczas pod okupacją państw środkowych. Polakom w Rosji i na kresach ziemia zaczęła się palić pod nogami. Więc w niewidzianej dawno albo nigdy Polsce, jęli szukać teraz bazy, któraby mogła posłużyć jednocześnie za miejsce schronienia zagrożonych głów i za punkt wypadowy do odbicia zagrożonych majątków i przywilejów.

W świadomości ludzi malowało się to wszystko oczywiście inaczej. Polacy w Rosji i na kresach zachowali w pełni swoją odrębność religijną i narodową. Ich wysoka sytuacja społeczna odrębność tę jeszcze podnosiła i utrwalała. Dlatego rewolucja rosyjska przełamała się w ich odczuciu w postaci wzmożenia się poczucia obcości wobec środowiska wstrząsanego konwulsjami. Odżyły ideały narodowe. Odnowiła się pamięć dawnego panowania na tych ziemiach, które miało stać się teraz tytułem nie tylko do obrony, ale do ataku. Polskość na kresach, choć nigdy nie wygasała, nie miała już oddawna samoistnego wyrazu politycznego. Teraz zaczęła go nabierać nanowo. Najbliższem wskazaniem było, oczywiście, złamanie rewolucji. I to nie tylko na kresach, ale o ile się da, także w rdzennych dzielnicach rosyjskich. Stąd współpraca ideowa, a w paru wypadkach także wojskowa, z białemi oddziałami rosyjskiemi w różnych kątach państwa. W dalszej perspektywie myślano o powrocie do granic historycznych sprzed r. 1772. W tem haśle doskonale zespalało się uczucie narodowe z interesem klasowym: żywiono nadzieję, że w Polsce, powiększonej o obszary kresowe, zachowana będzie prywatna własność ziemi i że powrócą te same formy życia, w których żyło się dotąd tak szczęśliwie. Wierzono, że bolszewizm będzie zniszczony i ustąpi miejsca być może jakiemuś złagodzonemu caratowi, a w najgorszym razie będzie zatrzymany na wschodniej granicy Polski. Niepodległa Polska, zanim stała się rzeczywistością polityczną, otrzymała w ten sposób misję dziejową ze wschodu — ratowania własności polskiej na kresach, czyli t.zw. polskiego stanu posiadania.

Opinja polityczna polska poza kresami patrzała w tym czasie na te sprawy inaczej. Współczuła gorąco Polakom, którzy padli ofiarą terroru bolszewickiego, i cieszyła się z powstania ośrodków wojsk polskich w Rosji. Ale od wojsk tych oczekiwała nie tyle wdawania się w sprawy rosyjskie ile raczej szybkiego powrotu do kraju, dla wzmożenia narodowych sił zbrojnych. Gdy się ten powrót odwlekał, poczęto się zniechęcać, a nawet poczęły się odzywać głosy przeciwne tworzeniu wojsk polskich w Rosji. Rzecz znamienna, że ugrupowania prawicowe w Polsce szybko zorjentowały się w klasowym charakterze polskich działań wojskowych w Rosji i zaczęły im sprzyjać. Ale i na prawicy nie myślano wtedy o przyłączeniu całych kresów do Polski. Nacjonalizm polski nie bez słuszności obawiał się zbyt silnych mniejszości narodowych w powstającem państwie. Na lewicy przeważała radość z upadku caratu i aprobata rewolucji społecznej w Rosji, bez sympatji dla komunizmu, ale także bez żadnej dążności do obalenia go przez interwencję zewnętrzną.

Ten stan opinji publicznej, raczej trzeźwy i skromny w zasięgu, zmienił się raptownie dopiero później, w czasie wojny polsko-rosyjskiej. Zapomniano wtedy na lewicy o prawdziwych okolicznościach tworzenia wojsk polskich w Rosji i poczęto im przypisywać intencje wyzwolenia ludu ukraińskiego i białoruskiego od ucisku bolszewików — o czem w chwili powstania tych wojsk jako żywo nikt nie myślał. Na prawicy wiedziano dobrze jak było, ale nie leżało w niczyim interesie, żeby o tem mówić.

*

Spóźnioną zasługą Mackiewicza jest prawdziwe oświetlenie tej sprawy: ,,...przeciętny typ Polaka w Rosji nie upodobał sobie rewolucji i poczuł tęsknotę za krajem. Oto jest geneza powstania wojska polskiego w Rosji... Genezą wyodrębnienia się wojska polskiego była ...żywiołowa chęć Polaków wyodrębnienia się od paskudztwa rosyjskiej rewolucji... Zimą 1917/1918 I korpus gen. Dowbora-Muśnickiego... znalazł się w Mohylowszczyźnie, Mińszczyźnie—na ziemi, która swemi profanowanemi kościołami, swemi napadanemi dworami, swemi terroryzowanemi miastami i inteligencją polską przypominała mu, że jest ziemią polską. W obronie tego wszystkiego szable polskie same wydobyły się z pochew... I korpus — co było naturalne, co było zrozumiałe — wdał się w wojnę z bolszewikami... gotów był współpracować z Niemcami w rozbijaniu bolszewików, na prawach sojusznika, ale Niemcy ten zamiar udaremnili (gen. Dowbór-Muśnicki złożył Niemcom broń bez walki dn. 22 maja 1918 r. — *przyp. mój*). Także II i III korpusy polskie na Ukrainie, poniekąd, i o tyle o ile, broniły polskości Ukrainy, broniąc polskiej własności w tym kraju... Murmańczycy walczą obok Anglików i obok gen. Millera; historja polskiej dywizji syberyjskiej związana jest z Kołczakiem, wreszcie IV dywizja strzelców gen. Żeligowskiego powstała na Kubaniu i związana była z wojskami kozackiemi i ochotniczemi rosyjskiemi"...

W ten sposób Mackiewicz, nie kusząc się o analizę podłoża społecznego zdarzeń, umiejscowił jednak oddziały polskie w zespole sił, zmagających się w okresie rosyjskiej wojny domowej, tam gdzie istotnie było ich miejsce w r. 1917/18, a nie tam, gdzie przeniosła je później propaganda wojenna r. 1920.

*

Piłsudski w okresie tworzenia się oddziałów polskich w Rosji przebywał w twierdzy magdeburskiej. Zaaresztowali go Niemcy w chwili gdy wybierał się do Rosji. Chciał zapoczątkować tam organizację wojsk polskich, które nie byłyby jeszcze jednym korpusem białej interwencji w Rosji, lecz wojskiem odradzającej się Rzeczypospolitej, tworzonem bez groźnych wpływów niemieckich. Choć mu się to nie udało, to jednak sam fakt, że nie chciał być klientem potężnego sojusznika, że chciał i umiał zająć postawę samoistną, że pozwolił się zamknąć w twierdzy, wzmógł jego popularność w kraju i unicestwił plany niemieckie, związane z próbą tworzenia w Polsce ,,Wehrmacht"u, popieraną skądinąd.

Gdy Piłsudski, zwolniony z Magdeburga, znalazł się w Warszawie, stanęło przed nim zagadnienie wschodnie odrazu w całej rozciągłości. Wojska niemieckie wycofywały się szybko z kresów; w ich miejsce wchodziły ze wschodu improwizowane naprędce wojska sowieckie, a z zachodu polskie. Wydawało się rzeczą naturalną, że granica obu państw będzie zakreślona jakąś linją zetknięcia się obu wojsk. Ale jaką? Po raz pierwszy spotkały się obie armje na terenie dawnych gubernij grodzieńskiej i wołyńskiej w lutym 1919 r. Dn. 19 kwietnia t.r. wojska polskie zajęły Wilno, latem doszły do linji Dźwiny i górnego Dniepru, przyczem część zajętych Inflant Polska odstąpiła Łotwie. Dn. 8 sierpnia t.r. wojsko polskie weszło do Mińska. Z początkiem października front wojsk polskich znalazł się na linji Berezyny, Ptyczy, Uborci i Słuczy. Działo się to przy nieznacznym albo żadnym oporze ze strony sowieckiej. Ale ostatecznie trzeba było się zdecydować, na czem ma się to wszystko skończyć. Trzeba sobie było postawić ,,cel wojny" — której nie było, albo raczej cel agresji — która była.

*

W marcu 1919 r. delegat rządu polskiego Aleksander Więckowski przybył do Moskwy, jakoby dla likwidacji stanu niewypowiedzianej wojny. Przedstawił on Cziczerinowi także propozycję P.P.S., rozgraniczenia interesów Polski i Rosji sowieckiej na obszarach kresowych, w sposób pokojowy. Wojska sowieckie miały opróżnić te ziemie, a o ich przynależności państwowej miał zadecydować plebiscyt ludności. W kwietniu t.r., po zajęciu Wilna przez wojska polskie, rząd sowiecki polecił jednak Więckowskiemu opuszczenie Moskwy i zapowiedział że nawiąże rokowania pokojowe dopiero wówczas, gdy wojska polskie przestaną posuwać się naprzód. Niedługo potem interwenjował w tej sprawie komunista polski Juljan Marchlewski — także bezskutecznie. Dn. 22 grudnia 1919 r. rząd sowiecki zwrócił się do rządu polskiego z oficjalną propozycją pokojową i prosił o niezwłoczne wyznaczenie miejsca i terminu rozpoczęcia rokowań. Rząd polski nie udzielił na to żadnej odpowiedzi. Sejmu i opinji publicznej o tej propozycji wcale nie poinformowano. Ale wiadomość przedostała się do kół politycznych. Na lewicy nastąpiło pewne zaniepokojenie. W tych sferach brano bowiem na serjo sprawę wyzwolenia bratnich narodów na ziemiach kresowych, ale nie chciano dalszego rozlewu krwi. P.P.S. pamiętała o swojej inicjatywie plebiscytów kresowych sprzed paru miesięcy, udaremnionej przez postęp ofensywy polskiej. Dn. 8 stycznia 1920 r. Ignacy Daszyński wniósł w sejmie interpelację w sprawie sowieckiej propozycji pokojowej. Na interpelację tę rząd nie udzielił należytego wyjaśnienia. W trzy tygodnie później, dn. 28 stycznia 1920 r., Rada Komisarzy Ludowych ogłosiła deklarację do rządu i narodu polskiego, w której uznała niepodległość i suwerenność Polski i wyraziła gotowość nieprzekraczania linji rzeki Dryssy, oraz linji łączącej Połock, Borysów, Cudnów i Bar, a więc miejsc położonych znacznie na wschód od późniejszej granicy, wyznaczonej przez traktat ryski.

Jednocześnie Rada Komisarzy Ludowych oświadczyła, że nie pragnie wojny i że wszystkie sprawy sporne między Polską a Sowietami uważa za możliwe do załatwienia w drodze porozumienia. Deklarację, która była czemś w rodzaju ofensywy pokojowej, apelującej także do opinji państw zachodnich, podpisali Lenin, Trockij i Cziczerin. W końcu lutego 1920 r. komisja spraw zagranicznych sejmu stwierdziła gotowość rozpoczęcia przez Polskę rokowań z Rosją sowiecką, w porozumieniu z państwami sprzymierzonemi. Przewidywano danie możności wypowiedzenia się ludności na kresach, na obszarach dawniej należących do Polski. Ta uchwała komisji, jak widać, niewiele odbiegała od inicjatywy P.P.S. sprzed roku.

Ale o wojnie i o polityce decydował w tym czasie tylko sam Piłsudski. Nie chciał on dać się wciągnąć w jakiekolwiek rokowania, któreby mogły wstrzymać go w stwarzaniu faktów dokonanych w pochodzie na wschód. Więc uchwałę komisji spraw zagranicznych sejmu umiano udaremnić. Dn. 27 marca 1920 r. minister spraw zagranicznych Patek zaproponował Cziczerinowi prowadzenie rokowań w Borysowie i oznaczył dla ich rozpoczęcia datę dn. 10 kwietnia t.r. Postawił jednak warunek, że w czasie rokowań działania wojenne mają trwać dalej, z wyjątkiem samego tylko odcinka borysowskiego, który był dla wojsk rosyjskich dogodny. Gdy Rosja odpowiedziała na to żądaniem zawieszenia broni na całym froncie i prowadzenia rokowań w Warszawie, Moskwie, Paryżu, Londynie, w Estonji, albo gdziekolwiekindziej poza frontem, Patek odmówił, co udaremniło wszczęcie rokowań. To właśnie odpowiadało życzeniu Piłsudskiego. Krajowi powiedziano, że zerwanie rokowań nastąpiło dlatego, że jak się okazało, bolszewicy chcieli tylko zyskać na czasie, dla przygotowania ofensywy w czasie zawieszenia broni. Nastąpił wtedy konflikt w sejmowej komisji spraw zagranicznych. Przewodniczący jej, prof. Stanisław Grabski, oświadczył, że nie wierzy w przygotowania bolszewików do ofensywy i że sądzi raczej, że to Piłsudski prze do dalszej wojny, dlatego że trwa przy swoich zamiarach agresywnych, zmierzających do rozbicia Rosji oraz do federacji z nowotworami państwowemi na kresach. Ale lewica, choć pragnęła raczej pokoju i plebiscytów niż dalszej wojny, nie chciała stanąć przeciw Piłsudskiemu w jego konflikcie z Grabskim, który wyrażał doktrynę polityczną Narodowej Demokracji. Więc Piłsudski zwyciężył w tym sporze, — przy pomocy lewicy i konserwatystów z Klubu Pracy Konstytucyjnej, — i wojna trwała dalej.

Ustępliwość Rosji sowieckiej wobec Polski w tym czasie nie płynęła tylko z jej słabości, ale także z rachunku politycznego. Rosja nie chciała, żeby Polska weszła zbyt głęboko w ziemie kresowe, a już w żadnym razie nie mogła się pogodzić z oddaniem Ukrainy, której utrata musiałaby zakwestjonować samo istnienie Rosji europejskiej jako mocarstwa. Ale utrata choćby znacznych obszarów białoruskich, wołyńskich a nawet ukraińskich na rzecz Polski, nie byłaby dla Rosji zbyt bolesna, o ile nie sięgałaby za daleko w kierunku południowo-wschodnim. Przy pewnym układzie stosunków byłoby to dla Rosji nawet dogodne, gdyż nie pozbawiając jej bogactw Ukrainy, mogło się było przyczynić do zmniejszenia rozmachu nacjonalizmu ukraińskiego w obrębie Rosji. W tej sprawie, jakkolwiek brzmi to paradoksalnie, Rosja sowiecka bez niechęci widziałaby się była obok Polski w roli jak gdyby państwa rozbiorczego na obszarach kresowych. W tak rozumianych ,,celach wojny" czuła się Rosja od samego początku solidarna z Polską, i stąd w tym czasie płynęła naprawdę jej ustępliwość.

*

Ale Piłsudski nie chciał dać się zatrzymać w swoim pochodzie na wschód, bo jego zamysły sięgały o wiele dalej. Nie leżało mu na sercu przywrócenie caratu w Rosji. Na rewolucję bolszewicką patrzał raczej chętnem okiem, uważając ją za zdarzenie przejściowe, osłabiające państwo rosyjskie, a tem samem dla Polski korzystne. Przedewszystkiem zaś wierzył, że rewolucja spowodowała w Rosji już tak znaczny rozkład, że nietrudne będzie teraz osiągnięcie celów, do których zmierzał naprawdę: rozbicia państwa rosyjskiego i przyłączenia ziem kresowych do Polski. Wymaganiom chwili czynił Piłsudski zadość przez nadanie temu swemu zamierzeniu propagandowej postaci federalizmu. Z temi właśnie celami łączyła się jego formuła ,,wyzwalania narodów ujarzmionych". Zaprezentowano ją społeczeństwu polskiemu w ponętnej postaci idei jagiellońskiej. Polska miała podjąć budowę wielonarodowego państwa federalnego, w którem wszystkim narodom byłoby jednakowo dobrze. Na lewicy zwłaszcza podchwycono ten program z należnym idealizmem: przypomniano sobie hasło ,,za naszą wolność i waszą".

*

Istniały jednak trudności, z których Piłsudski zupełnie nie zdawał sobie sprawy. Idea jagiellońska była w XV i XVI w. w zasadzie nietrudna do urzeczywistnienia. Wyższa kultura polska przyciągała łatwo szlachtę Litwy i Rusi, a stanom niższym nie było w zjednoczonem państwie ani lepiej, ani gorzej niż przedtem. Federacja Polski z ziemiami wschodniemi w r. 1919 nie mogła się już oprzeć na samej tylko współpracy ,,narodów szlacheckich" w jednoczących się krajach. Duch epoki wymagał, żeby dobra wola ku zjednoczeniu się płynęła mocnym nurtem nie tylko od warstw górnych, ale z samego miąższu narodów. A przecież na kresach wschodnich rewolucja r. 1917 dała chłopu ziemię, którą odjęła panom. Chłopem był Ukrainiec, a panem bardzo często Polak.

Wchodząc do kraju przeoranego przez rewolucję, do ludzi, którym przyniosła ona już pierwszą i główną zdobycz — ziemię, trzeba było dać wyraźną odpowiedź, czy się wyniki tej rewolucji aprobuje, czy też odrzuca. Piłsudski stanął przed dylematem, wobec którego był bezradny. Nie mógł bronić otwarcie wywłaszczonej przez rewolucję szlachty polskiej na kresach, bo to prowadziło go do konfliktu z całym chłopskim narodem ukraińskim. Nie mógł jednak też wyrzekać się tej szlachty, bo ona przecież tylko stanowiła tytuł historyczny do roszczeń polskich na Ukrainie. Także i dlatego nie mógł zresztą uznać otwarcie zdobyczy rewolucji, bo to stawiało na porządku te same tematy w Polsce. A w Polsce ważyły się przecie dopiero losy skromnej reformy rolnej i ustawodawstwa społecznego dla robotników w ramach istniejącego ustroju. Było rzeczą oczywistą, że tylko taka Polska, któraby przeprowadziła już u siebie podobne przemiany we władaniu ziemią, jak te, które dokonały się na Ukrainie, mogła z jakiemiś widokami powodzenia zwracać się do ludu ukraińskiego z wezwaniem, żeby zechciał dzielić swoje przyszłe losy z narodem polskim. Ale taki aspekt sprawy ukraińskiej nie postał wcale w głowie Piłsudskiego. Nikt go też o to nie napierał. Od manifestu rządu lubelskiego z dn. 7 listopada 1918 r. nie uczyniono w Polsce nic, coby zapowiadało głębszą przebudowę społeczną. W ten sposób ideę jagiellońską przekreśliła na Ukrainie zwycięska rewolucja chłopska.

Piłsudski znalazł sobie, jak mu się zdawało, skuteczny sposób obejścia tej trudności: ukraiński ruch niepodległościowy. Nacjonalizm ukraiński wygrywany był dość długo przeciwko Polakom przez Austrję, na obszarze dawnej Galicji. W listopadzie 1918 r. znalazł wyraz w krwawem starciu o Lwów i w półrocznej wojnie ukraińsko-polskiej. Przedtem jeszcze nacjonalizm ten był podniecany przez carat przeciwko Austrji. W r. 1918 w ,,niepodległej" Ukrainie osadzili Niemcy rząd gen. Skoropadskiego — prototyp wszystkich podobnych rządów późniejszych. Dzisiaj w Polsce okupowanej przez Niemcy, w Krakowie i w Krynicy tworzone są ukraińskie formacje wojskowe do walki z Rosją, a na Ukrainie przygotowuje się nowy rząd ,,wyzwoleńczy". Naród ukraiński, który od niepamiętnych czasów nie miał niepodległego państwa, dał światu pierwszych quislingów, na usługach różnych obcych potencyj.

Piłsudski wierzył, że hasło niepodległości Ukrainy uwolni go od konieczności zajęcia wyraźnej postawy wobec przewrotu społecznego na Ukrainie. Dopomógł mu w tej wierze ataman Petlura. Utworzył on pod opieką polską dyrektorjat Ukraińskiej Republiki Ludowej i zebrał niewielkie oddziały ochotnicze. Rząd polski uznał ten dyrektorjat de iure, a Piłsudski po rozpoczęciu ofensywy ukraińskiej (dn. 26 kwietnia 1920 r.) wydał odezwę, w której zapowiedział, że wojska polskie pozostaną na Ukrainie przez czas potrzebny do usunięcia ,,obcych najeźdźców", poczem gdy władzę będzie mógł objąć ,,prawy rząd ukraiński", powrócą do Polski, ,,spełniwszy szczytne zadanie walki o wolność ludów". Petlura także wydał podobną odezwę. Mówiło się o utworzeniu demokratycznego państwa ukraińskiego, które miało zastąpić obcą najezdniczą władzę rosyjską.

Petlura, czyniąc zadość wymaganiom swych opiekunów, zaraz po zajęciu Kijowa przywrócił prywatną własność ziemi. W praktyce oznaczało to powrót dawnych dziedziców. Oznaczało także odebranie chłopom ziemi, którą otrzymali z rąk rewolucji. Zawarł też umowę z Polską; mocą jej zrzekł się zachodniego Wołynia, Polesia i Małopolski Wschodniej, do której nacjonalizm ukraiński zgłaszał roszczenia. Piłsudski dbał bardzo o to, żeby wiadomość o umowie z Petlurą nie rozeszła się na Ukrainie zbyt szeroko, ale nie można jej było całkiem zataić.

Te dwa akty Petlury zapowiadały zatem ludowi ukraińskiemu, po zwycięstwie armji polskiej, wyrzeczenie się części obszaru, który lud ten uważał za swój obszar narodowy, oraz utratę ziemi, otrzymanej dzięki zwycięstwu rewolucji rosyjskiej. Wzamian za to miała Ukraina otrzymać — ,,demokrację i federację". Ani to ani tamto nie miało dla chłopa ukraińskiego żadnego powabu. Demokracja polityczna była na Ukrainie pojęciem egzotycznem. Mocno naciągnięta tradycja każe uważać Sicz zaporoską za pierwotną demokrację żołnierską, ale na serjo nikt tego nigdy nie brał. A federację uważał chłop ukraiński, trafnym instynktem wiedziony, za jakąś osobliwą formę zaboru. Aby federacja Ukrainy z Polską mogła się była dokonać, konieczny był ,,cud", nie tyle nad Wisłą, ile nad Dnieprem: chłop ukraiński musiałby się dobrowolnie zdecydować na rozstanie się z państwem sowieckiem, w którem zdobył sobie był ziemię i w którem niema już ,,panów", i musiałby — także dobrowolnie — zechcieć wejść w skład państwa polskiego, w którem odnaleźliby rychło tych samych panów, dzisiaj uchodźców, a jutro już znowu dziedziców. Nic dziwnego że te akty polityczne Petlury oraz zamierzenia Piłsudskiego, kryjące się za niemi, nie mogły skłonić nikogo na Ukrainie do współdziałania z dyrektorjatem. Nie dawały poprostu żadnej pożywki ani interesom chłopstwa, ani nacjonalizmowi ukraińskiemu. Koncepcja pozyskania Ukrainy dla Polski przy współdziałaniu tamtejszej ludności, okazała się rozbita w samym zarodku przez wewnętrzne sprzeczności. Cała impreza ukraińska traciła wszelki sens ,,wyzwoleńczy". Przed Piłsudskim stawało otwarcie jedyne wyjście z sytuacji, w którą był zabrnął: podbój Ukrainy siłą.

I tu znowu przytoczę opinje Mackiewicza, którego w sprawie polityki ukraińskiej Piłsudskiego mogę uważać niejako za świadka koronnego: jednako silne sentymenty wiążą go z Piłsudskim, co z dworami polskiemi na kresach. Opinje te brzmią jak następuje. 1) ,,W sprawie ukraińskiej czy litewskiej Piłsudski kierował się wyłącznie polską racją stanu. Po pierwsze, dążył do rozczłonkowania Rosji, po drugie, wierzył, że państwa graniczące z Polską, oswobodzone przez Polskę od Rosji, wpadną z łatwością pod wpływ Polski i że Polacy będą je mogli tak samo po pewnym czasie spolonizować, jak szlachta dawnej Rzeczypospolitej spolonizowała i Litwę i Ruś". 2) ,,Ludzie z kresów nie tylko nie mają kompleksu niższości narodowej, lecz raczej mają kompleks wyższości narodowej. Wynika to z tego, że na wschodzie nie byliśmy nigdy narodem chłopów czy robotników kopalnianych, lecz narodem panów... Piłsudski wierzył, że sfederowane z nami narody prędko staną się Polakami". 3) Społeczeństwo nie rozumiało, że ,,to co ukraińskie ma być tylko czasowo ukraińskie, a potem będzie polskie". 4) ,,Idea rozczłonkowania Rosji... choruje właśnie na brak gustu Ukraińców kijowskich do samodzielności. Hasła te nie mają korzeni pomiędzy Kijowem a Odessą. Łatwo można sobie wyobrazić, że od Rosji odpadnie Kaukaz, Turkiestan, nawet Syberja. Trudniej jest przypuszczać, że całość rosyjska pęknie na krawędzi pomiędzy Moskwą a Ukrainą".

Jeżeli w jakiej głowie pokutują jeszcze rzewne wspomnienia o roku 1920 jako o dobie wojny ,,za wolność naszą i waszą", to proste i jasne słowa Mackiewicza — oraz człowiek stojący za nimi — rozwiewają te złudzenia. Człowiek reprezentuje myśl polityczną nie tyle prawicy — bo Narodowa Demokracja miała i ma dziś jeszcze doktrynę odmienną — ile ,,narodu panów" kresowych, a słowa wskazują dowodnie — co we mnie nigdy nie budziło wątpliwości — że polityka lewicy polskiej w sprawie ukraińskiej była w bardzo znacznej mierze wynikiem nieporozumienia*).

ADAM PRAGIER.

---

*) W jednym z najbliższych numerów ,,Wiadomości Polskich" dokończenie artykułu: ,,Kijów—Warszawa—Ryga".

DZIENNIK
OFICERA SZTABU

(oficera łącznikowego wywiadu lotniczego, przydzielonego do północnej ekspozytury sztabu naczelnego dowództwa brytyjskich sił powietrznych we Francji w 1940 r.)

Przełożył Wł. Ludwig

cena 2/6

do nabycia w księgarniach M. I. KOLIN (Publishers) LTD.: LONDON: 9, New Oxford Street, W.C.1. PERTH: 28, King Edward Street. DUNDEE: 24a, Cowgate.

ZAGADNIENIE OGRANICZEŃ ODZIEŻOWYCH ROZWIĄZAŁA FIRMA
JONES, CHALK & DAWSON Ltd.
Krawcy woiskowi, cywilni i lotnictwa
6 SACKVILLE ST., PICCADILLY
LONDON, W.1. Tel. REGent 0656

Najlepsza jakość materjału, a co najważniejsze, wzorowy angielski krój zapewnia prawdziwą elegancję i trwałość; dzięki temu nie dają się nam we znaki ograniczenia kuponowe

.... A TYMCZASEM
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU
PRZY DŹWIĘKACH PŁYT
DECCA

JULJUSZ GROT

ARTHURA RIMBAUDA PODRÓŻ DO PIEKIEŁ

ZAGADKA POETY I JEGO DRAMAT DUCHOWY

Sprawa Rimbauda odgrywa dotąd taką rolę w dziejach literatury francuskiej, jak tajemnica więźnia o żelaznej masce w historji tego kraju. Ów genjalny pederasta o stalowo-błękitnem spojrzeniu, wagant i kłusownik po wertepach Afryki i bezludziach poezji, komunard i „pétroleur“ oraz dziecinny żak w jednej osobie, wypisujący na ławkach parku w Charleville: „Merde à Dieu“, dostawca mauzerów dla Menelika i przemytnik zakazanych a bezcennych pereł poezji, stanowi po dzień dzisiejszy nieodcyfrowaną depeszę, nad którą pochylają się biegli w piśmie grafologowie, starając się odnaleźć jej sekretny szyfr. Rimbaud zostawił po sobie kilkadziesiąt wierszy, przeszywających jak prąd elektryczny; krótkie życie, bogate jak awanturniczy romans; legendę podobną do Ikarowej. Siedemnastoletni wyrostek z prowincjonalnego miasteczka w Ardennach, wstąpiwszy na lodowy Ararat krystalicznie skondensowanej poezji, zaciął literaturę francuską biczem takiego dreszczu jak nikt przedtem i nikt po nim. Ale posłuchanie na Synaju trwa krótko, a Rimbaud nie czuł w sobie ani powołania na Mojżesza, ani ambicji twórcy kapliczki literackiej. Strzaskał więc otrzymany dekalog i zachowawszy dla siebie wiedzę tajemną, rozszedł się z oficjalną literaturą, jak ze swarliwą i gadulską kochanką.

Zagrobowe zwycięstwo przemilczanego za życia poety jest rzeczywiście zadziwiające. Nie wiemy zresztą, czy sam twórca — pogardliwy i cyniczny — cieszyłby się pośmiertnem runem, istną powodzią dysertacyj i ekstrapolacyj jego tekstów, mrowiskiem przecinkarzy i przyczynkarzy, komentatorów i egzegetów, drążących jak termity szczupłe objętościowo dziedzictwo. Do niedawna wychodziło we Francji co roku kilka tomów poświęconych sprawie Rimbauda, które usiłowały z najrozmaitszych kątów nachylenia wyjaśnić zagadkę i zejść w najgłębsze, predyluwjalne pokłady dzieła poety. Sprawa Rimbauda zaczęła w ostatnich czasach przypominać, niestety, walizkę bogatego snoba, oblepioną dziesiątkami etykiet pochodzących z przeróżnych kuchen i hoteli. „Rimbaud — chrześcijanin“, „Rimbaud — komunard“, „Rimbaud — wieszcz“, „Rimbaud — włóczęga“ — oto tezy i tytuły ogłoszonych książek. Ale zawodowi chirurdzy biedzą się napróżno. Już, już — wydaje im się — docierają do najdelikatniejszego, drgającego miąższu, już ujmują owo pulsujące centrum w matematyczne wzory nienagannej analizy, gdy nagle zagadnienie zaczyna przemykać się im jak woda między palcami, bardziej płynne, bardziej kameleonowe i nieuchwytne niż kiedykolwiek. Zaprawdę, każda formalistyczna analiza literacka — czyli chwytanie natchnienia post factum na gorącym uczynku stawania się — ma coś wspólnego z sekcją zwłok, która może tylko stwierdzić zgon, ale życia wytłumaczyć nie zdoła.

Niesposób zrozumieć dramatu duchowego Rimbauda wychodząc z założeń religijnych, społecznych, czy też jakichkolwiek innych przesłanek pozapoetyckich. Nawet kamień probierczy chemicznie czystej estetyki, którym dotąd przywykliśmy się posługiwać, jak papierem lakmusowym, w analizie odczynników poetyckich, okazuje się zawodny; twórczość Rimbauda, wyłamując się z retorycznych kanonów „artis poeticae“, stawia nas bowiem oko w oko z dramatem o najwyższym diapazonie metafizycznym. Przez tragiczną przygodę genjalnego niedorostka przechodzi w słabszym lub silniejszym stopniu — zależnie od napięcia swego wewnętrznego ładunku — każdy poeta, a więc człowiek najbardziej ze śmiertelnych zbliżony do Boga i jak on, stwarzający świat własnym tchem. Koleje wielkości i upadku Rimbauda, napiętnowane znamionami antycznej tragedji, to próba zamknięcia w geometrycznej lineaturze ludzkich słów tego co się w nich pomieścić nie może, bo z natury swej jest niewyrażalne w artykułowanym dźwięku. Rezygnacja Rimbauda jest więc abdykacją poety, żonglującego jak wirtuoz słowami wyostrzonemi do ostatnich granic, znajdującego się w Ultima Thule możliwości językowych i dźwiękowych, jego dymisją wobec ogromu nowej, nieprzeczuwanej harmonji, nieludzkiej muzyki sfer. Rimbaud doszedł do miejsca, w którym kończy się wiersz a zaczyna ekstaza, gdzie poeta przeistacza się w świętego, tam gdzie „poesia finita est, incipit catharsis“. W tym irracjonalnym punkcie przecięcia się dwóch linji równoległych, w owym magicznym mimośrodzie natchnienia, poeta słyszy głos, który mówił niegdyś św. Teresie z Avila: „Nie chcę abyś rozmawiała z ludźmi, lecz z aniołami“. Lecz jakże ulepionemu z gliny śmiertelnikowi odnaleźć anielskie abecadło, podobne do szeptu kwiatów, westchnień jeziora i mowy obłoków?

Nie jest zadaniem niniejszej pracy rozpatrzenie „casus Rimbaud“ ani z punktu widzenia medycyny, któraby wiele miała do powiedzenia na temat przedwczesnej i wręcz anormalnej erupcji genjalności w okresie dojrzewania, ani też pod kątem „vie romancée“, mniej lub więcej dramatycznych perypetyj krótkiego poetyckiego żywota. Nie nęci nas ani trącący skandalicznym posmaczkiem stosunek między Arthurem a „pauvre Lélian“ (Verlaine), ani nawet dzieje wędrówek poety - trampa między Londynem i Adenem, Cyprem i Jawą. Autor niniejszej pracy uważa wraz z Valérym, że zagadnienie jest interesujące wtedy, jeżeli jego rozwiązanie nastręcza trudności. Pasjonuje nas więc orli profil duchowy twórcy, zawiłe meandry jego poetyckich peregrynacyj, krótkie spięcia przeskakujące zielonemi iskrami na nielicznych stronicach jego puścizny, owo skłębione mare tenebrarum jedynej w swoim rodzaju twórczości, z której razporaz strzelają jaskrawe gejzery oślepiającej, poetyckiej lawy. Kartki „Iluminacyj“ i „Sezonu w piekle“ obfitują w więcej awanturniczych eskapad, aniżeli afrykańska odysea poety, stanowiąc obok dantejskiego zejścia w podziemia, nową — lecz na jakże innym planie — nieludzką podróż do piekieł.

CZY DRAMAT CHRZEŚCIJAŃSKI?

Stosunkowo najwdzięczniejsze pole do wytłumaczenia zagadki Rimbauda znajdują zwolennicy jej rozwiązania w duchu dogmatyki chrześcijańskiej. Tego rodzaju odpowiedź narzuca się bowiem na pierwszy rzut oka przez tragiczną analogję, zachodzącą między rewoltą genjalnego poety przeciw ustalonemu ładowi rzeczy i jego próbą — nieudałą? — uchwycenia przedwiecznej melodji eteru i serafinów, a biblijnym mitem o zamachowcu - Lucyferze, władcy ciemności, którego za bunt przeciw Bogu strącił w czeluść ognisty miecz Archanioła. Cały bowiem dramat chrześcijański, opierający się na starej jak świat mazdeistycznej i manichejskiej koncepcji pojedynku Ormuzda z Arymanem, przyjmuje za przesłankę kuszenie człowieka przez węża syczącego: „eritis sicut Dei, scientes bonum et malum“. Nieubłaganą konkluzją chrześcijańskiego pojmowania świata jest kapitulacja człowieka w jego sporze z Bogiem, klęska bluźniercy Konrada, który chce „strzelić przeciw twej naturze“. Canossa we włosiennicy i ze sznurem na szyi u stóp włodarza ziemi i niebios, lub — jak chcieli Grecy — przygwożdżenie buntownika na wieczność do zimnych skał Kaukazu, oto grzmiący maëstoso finał tej kosmicznej symfonji pół-ludzkiej, pół-boskiej.

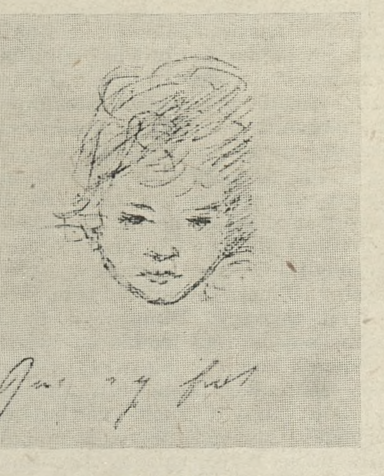

RIMBAUD

rysunek Foraina

Wiele danych przemawiałoby za tego rodzaju rozwiązaniem sprawy Rimbauda. Przedwczesne złamanie pióra przez poetę, jego tułaczka po spalonych słońcem kontynentach, śmierć na raka wśród męczarń, poprzedzona nawróceniem się zdruzgotanego grzesznika na łono tryumfującego kościoła—jakiż strasznieiszy dopust możnaby wyimaginować za rebelję przeciw Bogu, popełnioną nie tylko słowem i czynem, aktami cynicznego bluźnierstwa i szatańskiej pychy, ale za bunt myśli, za próbę rozmawiania z Bogiem jak równy z równym, za wejście na zabronione ścieżki, za zakosztowanie zatrutego owocu z drzewa wiedzy i życia? „Dramatis personae“ w tragedji chrześcijańskiej, to Bóg, człowiek i wąż, a w rimbaudycznej: Bóg, artysta i poezja. Owa lucyferyczna próba wzniesienia się na niedostępne dla śmiertelnika wyżyny musiała się zakończyć klęską — pomyśli chrześcijanin i w dramacie Rimbauda dopatrzy się strącenia pysznego anioła, niebiańskiego Ravaillaca i sztyletowca, który ośmielił się targnąć na Boży majestat. Taki też komentarz stworzył na marginesie dzieła Rimbaudowego Claudel, który nazwał poetę „mistykiem w stanie dzikim“, tak również rozumie go jeden z najwybitniejszych przedstawicieli młodej Francji katolickiej, Daniel-Rops, według którego „dramat Rimbauda polegał na tem, że poeta posługując się swą własną siłą usiłował zmazać z siebie plamę grzechu pierworodnego“. Jest to więc dramat potwornej pychy. Czyż tu więc znajduje się klucz zagadki? Czyż Rimbaud istotnie ukorzył się przed Bogiem, czy miał świadomość grzechu, co już samo wystarczyłoby za decydujący argument na korzyść zwolenników koncepcji chrześcijańskiej?

Oddajmy głos poecie: „Udało mi się wykorzenić z mego ducha każdą ludzką nadzieję. Jak dzika bestja wskoczyłem głucho na wszelką radość, by ją zdeptać... Wezwałem katów, abym mógł ginąc gryźć kolby ich strzelb. Wezwałem klęskę, bym mógł udławić się piaskiem, krwią. Nieszczęście było moim bogiem. Tarzałem się w błocie“...

A w innem miejscu: „Kapłani, propagatorzy, władcy — mylicie się wszyscy, wydając mnie w ręce sprawiedliwości. Nigdy nie byłem chrześcijaninem; pochodzę z rasy, która na torturach wyła z radości; nie rozumiem praw, nie posiadam zmysłu moralności, jestem nieokrzesańcem“...

Dwie niewielkie książeczki, — „Iluminacje“ i „Sezon w piekle“, — to istna krucjata przeciw krucyfiksowi. Ileż na ich stronicach Herostratesowej ambicji, ileż piekielnego bluźnierstwa, heretyckiego obrazoburstwa! Ileż żarliwych apelów do zerwania z wszelką dyscypliną, już nie tylko duchową, ale fizyczną, do wyzbycia się praw ciążenia moralnego i wzlotu w zakazaną stratosferę, w grzeszną próżnię, w której krąży samotnie śnione przez genjalnego somnambulika, Gérarda de Nerval, „czarne słońce“ poetów i szatanów. W tej mierze Rimbaud jest poprzednikiem wielkiego antychrześcijanina Nietzschego, bo czy ten pęd w krainę, leżącą poza dobrem i złem, nie przypomina dionizyjskiego transu obłąkańca z Maria-Sils? Bachiczny, lecz pełen bolesnego szlochu okrzyk Nietzschego na ostatniej stronicy „Ecce Homo“: „Rozumiecie mnie teraz? Dionizos przeciw Ukrzyżowanemu...“ jest jakby dalekim podźwiękiem jęku Rimbauda: „O Chrystusie, Chrystusie, wieczny marnotrawco energji“... Pascal powiedział kiedyś, że „choroba jest stanem naturalnym chrześcijanina“ i że „prawdziwy chrześcijanin nie może nigdy spokojnie spać, gdyż do końca świata Chrystus znajduje się w agonji“. Zarówno Nietzsche jak i Rimbaud oparli na walce z morbidezzą ewangelizmu, pierwszy — system filozoficzno-moralny, drugi — alfabet estetyczny. Dla obydwu wielkich kacerzy chrześcijaństwo neguje życie, bo suma bólu przewyższa w niem zawsze sumę radości, co znajduje wyraz w świetnej syntezie św. Teresy: „Panie! Daj mi umrzeć lub cierpieć. Nie chcę niczego więcej“. Konkluzją moralności chrześcijańskiej — w sensie najszerszym — jest więc połączenie się z Bogiem poprzez nadludzką abnegację i męczeńskie przekreślenie ziemskiej doczesności.

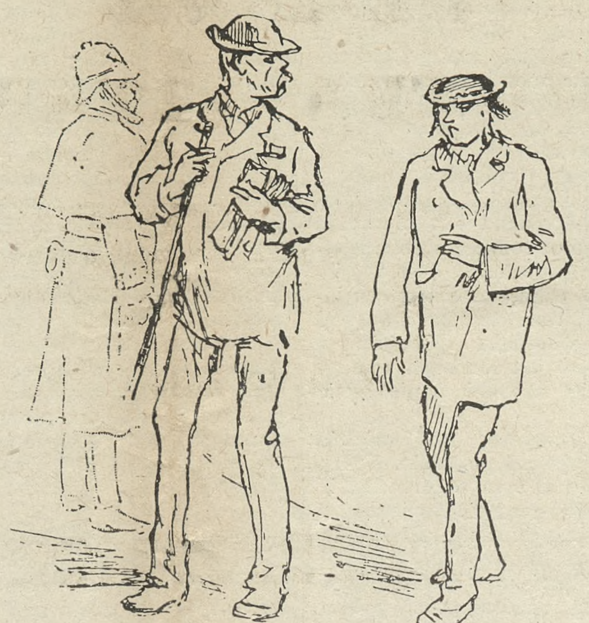

VERLAINE I RIMBAUD NA ULICACH LONDYNU

rysunek Félixa Régameya

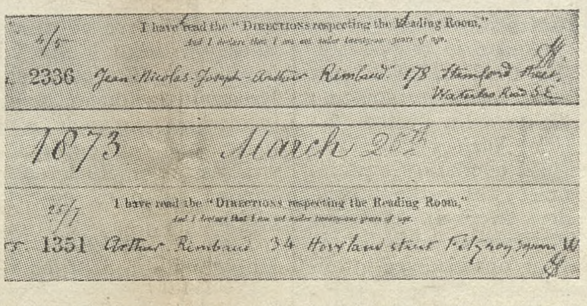

I have read the "Directions respecting the Reading Room."

4/5 2336 Jean-Nicolas-Joseph-Arthur Rimbaud 178 Stamford Street, Waterloo Road S.E.

1873 March

I have read the "Directions respecting the Reading Room."

1351 Arthur Rimbaud 34 Howland street Fitzroy Square W.

PODPIS RIMBAUDA NA DEKLARACJI DO KARTY WSTĘPU DO BRITISH MUSEUM

Ale możnaby zarzucić, że przecież Rimbaud — podobnie jak chrześcijanin — również ujemnie odnosi się do rzeczywistości, i ucieczka z niej jest motywem przewodnim jego dzieła. To prawda. Gotowi nawet jesteśmy przyznać, że najwyższy cel, „causa finalis“, obydwu systemów — ewangelicznego i rimbaudycznego — jest ten sam: odnalezienie doskonałej harmonji, a nawet ich punkt wyjścia jednakowy: wykroczenie poza świat materjalny. Ale ich różny ciężar gatunkowy wychodzi natychmiast najaw z całą ostrością. Chrześcijanin dochodzi do swego wyzwolenia na ciernistej drodze dyscypliny, nałożywszy hermetyczny kaganiec moralny — istny kaftan bezpieczeństwa — na miotające się kłębowisko ludzkich furyj i instynktów. Chrześcijańska wizja świata antycypuje hierarchję, istną feudalną drabinę zależności i poddaństwa duchowego, której nie wolno naruszyć pod sankcją utraty zbawienia — a więc utraty boskiej harmonji. Wyrazicielem takiej koncepcji wśród poetów jest Shelley, ów Arjel literatury światowej. Ale u Lucyfera-Rimbauda wszystko ma się inaczej: jego twórczość jest rękawicą rzuconą w twarz jakiejkolwiej hierarchji boskiej i ludzkiej, demoniczna wola mocy, przenikająca poetę, nie jest do pomyślenia u chrześcijanina. W dziele Rimbauda nie natrafiamy zresztą na najmniejszą aluzję do istnienia grzechu. Poeta przypomina poganina lub dziecko, któremu wszystko wolno a nic nie jest zakazane. Prawda że Rimbaud, usiłując na boski wzór stworzyć świat, poniósł klęskę, — jej przyczyny wytłumaczymy niżej, — prawda że zamilkł aż do śmierci, ale prawda również że nigdy nie uderzył czołem o próg Canossy. Przyjęcie Przenajświętszych Sakramentów przez nieuleczalnie chorego człowieka na śmiertelnem łożu marsylskiego szpitala, dokonane pod presją tyranizującej go zawsze matki i siostry-dewotki, — na tem budują swą tezę zwolennicy chrześcijańskiego rozwiązania dramatu, — stanowi naszem zdaniem akt czysto zewnętrzny, pozostający w całkowitej sprzeczności z najgłębszym sensem życia poety, którego poszczególne etapy, włączywszy nawet dobrowolną i wyniosłą banicję afrykańską, nie pozwalają na przypuszczenie o wewnętrznem załamaniu się twórcy i jego skrusze. Kapłan przy konającym Rimbaudzie może stanowić wdzięczny obrazek z Epinal dla biografa poety, może odegrać rolę „happy-end“u w trącących hagjografją wspominkach, jakie poświęciła twórcy jego siostra, Isabelle Rimbaud, ale nie może się ostać ani w świetle prawdy historycznej, ani psychologicznej.

RIMBAUD PODPALACZEM LUWRU?

Nie należy więc traktować Rimbauda jako kandydata do beatyfikacji. Jedna legenda się rozwiewa. Ale zaraz urasta druga, która opierając się na rzekomym udziale poety w komunie paryskiej, zamierza z niego uczynić apostoła nowego ładu społecznego i wytłumaczyć jego rewoltę pobudkami zaczerpniętemi ze słownictwa Marxa. Ta lewica bronzownicza jest równie niebezpieczna — i krótkowzroczna — jak jej antypody z prawej strony.

Ustalmy wpierw, że mit o udziale Rimbauda w komunie paryskiej opiera się wyłącznie na opowiadaniu przyjaciela poety Delahay, które nie tylko nie synchronizuje się z nie podlegającą wątpliwości chronologją życia poety, ale nie znajduje jakiegokolwiek innego potwierdzenia. Rimbaud ani nikomu nie mówił o tym epizodzie swego życia, ani też nie pozostawił w tej materji żadnych pisanych dokumentów. Jest natomiast rzeczą niezaprzeczalną, że Rimbaud, jak każdy uczciwy artysta, sympatyzował z ideałami świata pracy. Twórczość jego obfituje pod tym względem w liczne aluzje. Rimbaud organicznie nie znosił kabotyńskiej pozy Napoleona III i jego operetkowego cesarstwa, bufiastej mody i rentjerskiej moralności, podobnie jak nienawidził wszelkiego burżuazyjnego dobrobytu i statecznego ograniczenia. Dla Rimbauda „burżujem“ nie był ten, kto przywłaszcza sobie „nadwartość“ pracy najemnej, jakby chciał Marx, ale ten „kto myśli w sposób niski“, jak to określił Flaubert. Wywrotowe przekonania Rimbauda sięgają głębiej aniżeli analiza społeczna autora „Kapitału“, bo atakują samą ideę jakiegokolwiek uświęconego porządku ludzkiego, kapitalistycznego czy socjalistycznego. Z Marxa Rimbaud akceptuje tylko pojęcie destrukcji, rwany heksametr rewolucji, jej gniewne trocheje i ochrypłe jamby, ale nie więcej. Rimbaud nie ma w sobie nic z patosu pozytywistycznego konstruktora — w każdym socjaliście jest coś z pozytywisty — który buduje nowy świat dla ludzi i przy pomocy ludzi. Jak podkreślili Etiemble i Gauclère w ich inteligentnem studjum o poecie, rewolta Rimbauda nie jest społeczna, lecz metafizyczna. Wiedziony podwójnym wzrokiem wizjonera, Rimbaud tworzy poza obrębem świata z cementu, potu i drutów telegraficznych, a porusza się w bajecznej feerji nieznanych zapachów, pozaludzkich dźwięków i nieprzeczuwanych skojarzeń, w kotłowisku rozjuszonych słów na wolności, wypuszczonych jak bestje z klatki cyrku, w świecie, który nigdy nie istniał i cały pulsuje korną modlitwą o ziszczenie się. „Wymordujemy logiczne rewolucje“ — pisze poeta w pewnem miejscu. Czyż więc system socjalistyczny, podobnie jak jakikolwiek inny ludzki régime, zapewniłby poecie szczęście? Czy po tryumfie komunardów Rimbaud nie skończyłby jak Majakowskij? Oto pytania, które wystarczy postawić, aby odpowiedź sama się nasunęła.

KLUCZ OTCHŁANI

Jeżeli więc sprawa Rimbauda nie jest ani tragedją religijną, ani jednym z odcinków kataklizmu społecznego, postarajmy się odnaleźć jej wytłumaczenie na tej jedynej płaszczyźnie, na której jego dzieło twórcze odnajduje swój właściwy sens i bezsens: na planie czysto poetyckim. Klucz do zagadki Rimbauda spoczywa na dnie otchłani, w której biją źródła magicznej poezji, gdzie strumień liryzmu kojarzy się z sennem widzeniem, gdzie pełgające jak nikły blask świecy odbicia kiedyś zasłyszanych słów i chwiejnych wspomnień, czekają na swe słowne wcielenie.

Rimbaud wie podświadomie, że ów świat istnieje. Pisze więc: „Prawdziwe życie jest nieobecne, nie znajdujemy się na świecie“. Czuje również w swej piersi walkę dwóch istot, szamocących się ze sobą jak Hyde i dr. Jekyll w powieści Stevensona: jednej, poruszającej się na mocy prawa ciążenia i fizycznej muskulatury, i drugiej, wyrywającej się do nieziemskiej ojczyzny. Pykając swą wiśniową fajkę i popijając o świcie czarną kawę, kreśli w mansardzie przy rue Campagne Première swoją słynną formułę która później została tryumfalnie podjęta przez nadrealistów: „Ja — to kto inny“ („Je est un autre“). Trawiony gorączką, spragniony jak podróżnik, któremu na pustyni majaczy się złudna wizja szumiących fal, poeta usiłuje wyłamać się ze świata, jak więzień z Sing-Singu.

Rimbaud obmyśla precyzyjnie swą ucieczkę z więzienia doczesnego świata. Owoc jego medytacyj znajdujemy w słynnym liście z dn. 15 maja 1871 r. do Paula Demeny, który wydobyty z zapomnienia przez nadrealistów stał się jednym z kamieni węgielnych ich doktryny. Rimbaud dochodzi w nim do wniosku, że aby zbliżyć się do niewypowiedzialnego, poeta musi przeistoczyć się w medjum, wpaść w szał delfickiej ekstazy, żyć pod najwyższem ciśnieniem, wyostrzyć wzrok do tego stopnia, by przenikał przez materjalny kształt, jak promienie Röntgena, i umiał celnie utrafić w dno, określone wspaniale przez Novalisa: „Wszystko widzialne opiera się na dnie niewidzialnem, dosłyszalne na tle niedosłyszalnem, a dotykalne na niedotykalnem“. Pisze więc: „Twierdzę, że trzeba być jasnowidzem, trzeba zamienić się w jasnowidza“. Ale jak osiągnąć ów graniczący ze świętością i obłąkaniem stan ducha Pytji i Kassandry? Poeta przeradza się w jasnowidza — dzięki ogromnemu i premedytowanemu wykolejeniu wszystkich swych zmysłów. Doszukuje się sam wszystkich form miłości, cierpienia i szaleństwa; wyzwala w sobie wszystkie trucizny poto tylko, by zachować ich kwintesencję. Niewypowiedziana tortura, w której potrzebna mu jest cała jego wiara i nadludzka siła, w której przeistacza się kolejno w obłożnie chorego, w wielkiego zbrodniarza, w wielkiego potępieńca — i w najwyższego mędrca!

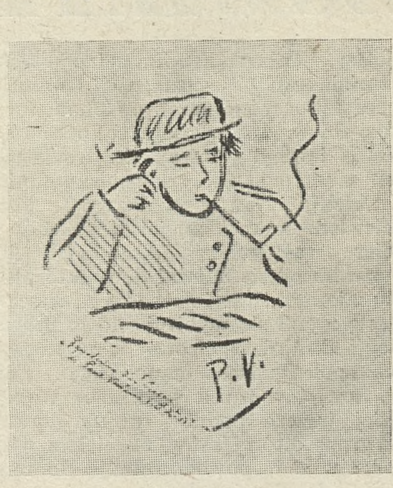

RIMBAUD

rysunek Verlaine'a

Oto zawrotna marszruta do piekieł, niebezpieczna recepta na stan łaski, przekazana przez Rimbauda poetom, tej konfraterni świadomych lunatyków. Nie wiemy czy Rimbaud czytał „Le paradis artificiels“ Baudelaire'a, w każdym razie frapująca jest analogja między poglądami obydwu twórców, wywodzących się z tego samego szubienicznego pnia wisielczej „poezji przeklętej“. Stanowisko artysty wobec życia, to — według Rimbauda — zapamiętały trans; miotany jego konwulsjami poeta musi więc zerwać z objektywizmem i intelektem i popuszczając cugli instynktowi, powinien połykać świat jak gąbka, która nie rozumuje, lecz przecież chłonie. Rimbaud używa często słowa „brute“. Owej chęci powrotu do krzemiennej epoki jaskiniowych zapaleńców nie należy jednak sobie tłumaczyć w sensie wulgarnym; jest to raczej próba wyswobodzenia się z ludzkiej, a więc ograniczonej świadomości, o której d'Unamuno powiedział w „Tragicznem poczuciu życia“: „Właśnie dlatego, że człowiek jest człowiekiem i ma świadomość siebie samego, jest on chorem zwierzęciem w porównaniu z osłem lub krabem. Świadomość jest chorobą“.

Zrywając więc z trójwymiarowemi kategorjami ludzkiego pojmowania i wyruszając jak tragiczny rycerz o smutnem obliczu na podbój wiatraków z natchnienia i boskiej plazmy, owej kantowskiej „rzeczy samej w sobie“, platońskiej „idei“, hegeljańskiego „absolutu“, poeta musi wpierw złożyć do rupieci ludzki język, wytarty jak ograna płyta gramofoniczna, i stworzyć nowy system słów i znaków najczulszych i absolutnie czystych. „Znaleźć język“ — oto bolesny refren przewijający się przez karty rimbaudycznego dzieła. Język dotychczas używany przez poetów uwiera Rimbauda jak ciasne obuwie i sprawia mu niemal fizyczny ból. Gryząc wargi, w nieustannej torturze porodowej męki, poeta doszukuje się nowej, pogańskiej mowy, stara się odnaleźć ów — pięknie określony przez Tuwima „skok barbarzyńcy, który poczuł Boga“. W somnambulicznym wierszu o samogłoskach Rimbaud dostrzega jak przez mgłę fioletowy odblask Omegi, „Jego oczu“, magnetycznych jak wzrok okularnika, ale wizja rozładowuje się jak burza, po której pozostaje tylko orzeźwiająca woń ozonu. Rimbaud czuje, że musi sięgnąć głębiej: w „Iluminacjach“ stara się trafić w dno. „Wymyśliłem kolor samogłosek...Opisywałem milczenia, noce, notowałem niewypowiedziane. Nadawałem kształt zawrotom“. Namiętny poszukiwacz stara się, jak Archimedes, znaleźć poetycki punkt oparcia, z którego uda mu się podważyć kulę ziemską. Tworzy więc pismo z gniewnych skrótów, naładowanych przekleństwem i dreszczem, buduje rodinowską, poszarpaną katedrę słów krwawych i obłocznych, o konturach zlewających się osmotycznie z czarnem tłem planetarnej pustki, wynajduje ideograficzny alfabet poetyckich hieroglifów, waży w retortach sekretne związki, z których ma trysnąć eliksir tajemnej wiedzy, razporaz uderza różdżką w gliniany blok ludzkiej mowy, spodziewając się że natrafi na kamień filozoficzny i witaminy poezji, spierzchniętemi wargami namiętnie szepcze słowo „mutabor“, podpowiedziane mu przez jakąś ekstatyczną Szecherazadę. Ale poeta czuje, że wymyślony przez niego język nie jest mową aniołów, lecz dalekiem do niej zbliżeniem. Ucieka więc do metafor prostych, o znaczeniu zaklęciowem i guślarskiem, intuicyjnie zdając sobie sprawę — co później naukowo stwierdzili Frazer, Adler i Freud — że owe szamańskie inkantacje, to przecież prastare źródło poezji, buchającej bezwiednie z ust człowieka z Neandertalu w obliczu ogromu natury i śmiertelnie obojętnych gwiazd.

Nowy obraz świata, do którego dochodzi Rimbaud w swych nostalgicznych poszukiwaniach utraconego raju, przeczuwał już wcześniej poeta i mistyk angielski Blake, pisząc: „Widzę poprzez me oczy, a nie mojemi oczami“. Ale dopiero od Rimbauda datuje się niezwykły sukces pojęcia „wizji“, owego podstawowego elementu nowoczesnej poezji. Sam poeta tak charakteryzuje swoje doświadczenie: „Widziałem wyraźnie meczet na miejscu fabryki, szkołę doboszów składającą się z aniołów, karoce na drogach nieba, salon na dnie jeziora; potwory, tajemnice“. A w innem miejscu: „Wydawało mi się, że każdy człowiek ma liczne inne żywoty. Rimbaud zamienia się świadomie w seismograf notujący automatycznie podskórne wstrząsy i pozostawia inicjatywę swemu szóstemu zmysłowi, deformującemu pryzmatycznie jawę, podobnie jak Mallarmé pozostawiał ją słowom („céder initiative aux mots“). W ten sposób stan duszy poety zbliża się coraz bardziej do mistycznej ekstazy, która nie dając mu fotograficznej kliszy świata, pozwoli mu zanurzyć się w oceanie prawdy poetyckiej.

Ową prastarą koligację między modlitwą i poezją poddał wyrafinowanej analizie ksiądz Brémond w swej epokowej pracy „O poezji czystej“, stanowiącej datę w filozofji poezji. Świetny krytyk zaciera w niej prawie doszczętnie granicę między klimatem duszy poety i świętego. Dopiero Roland de Réneville w niedawno ogłoszonem głębokiem studjum p.t. „Eksperyment poetycki“ trafnie ujął kapitalną różnicę między wizją świata artysty i ascety. Réneville przymuje jak Brémond, że poeta i mistyk „dochodzą razem do mrocznej rzeczywistości, w której wnętrzu noc i światło już się sobie nie przeciwstawiają“, wytycza jednak kordon między doświadczeniem poetyckiem i mistycznem: „gdy poeta dąży do *słowa*, mistyk zmierza do *milczenia*. Poeta utożsamia się z siłami objawionego wszechświata, podczas gdy mistyk usiłuje połączyć się poza niemi z nieruchomą i nieskończoną potęgą absolutu“.

W tem miejscu naszych rozważań otwórzmy nawias i postawmy za nim niewielką dygresję, która pozwoli nam na dokładniejsze umiejscowienie psychologiczne sprawy Rimbauda. Wydaje się nam bowiem, że historja literatury, jakby oscylując między wiecznym przypływem i odpływem uczucia i rozsądku, owemi „corsi e ricorsi“ Vica, grawituje bezustannie między romantyzmem i klasycyzmem, zrozumianemi w najszerszem znaczeniu tych słów. Rimbaud, a dziś nadrealiści, wywodzą swój rodowód z romantyzmu, który chce ująć wszechświat nie w klamrę algebraicznego dwumianu, lecz w lasso rozdygotanej pasji. Do tej linji twórców należą Szekspir, Baudelaire, z malarzy Michał Anioł. Ale istnieją przecież poeci-architekci, Hiramowie literatury, jak Homer, Valéry, Mallarmé, z malarzy Cézanne, którzy uznając natchnienie tylko za punkt wyjścia, usiłują zbudować wizję poetycką przy pomocy konstruktywnego wysiłku napiętej uwagi („parfaite attention“, którą zaleca poetom Valéry). Ta klasyczna odnoga literackiej delty dostrzega również niedocieczone morze ciemności leżące poza „orbis terrarum“ widzialnego świata, ale usiłuje przedostać się tam nie rozpaczliwym, a często samobójczym wystrzałem z kolubryny natchnienia, lecz mrówczą pracą cierpliwego intelektu. Jest to więc próba gigantycznego przeczucia świata przez wyposażonego w nieludzką inteligencję, valérycznego Monsieur Teste. Ale i te usiłowania zawodzą. Valéry dostrzega ziejący hiatus między zamierzeniem a osiągniętym wynikiem i ogarnięty rezygnacją, woła w swem arcydziele „Cmentarz morski“: „Wiatr się podnosi... Trzeba zacząć żyć“...

Ale Rimbaud, gdy rzuciwszy się jak nurek Schillera w czeluście, widzi że nie potrafi wydobyć z nich złotego pierścienia, skoro poetycka szpada pryska mu w rękach, nie chce, jak Valéry, „próbować żyć“ mimo wszystko. Stawką gry Rimbauda była boskość lub nicość, życie lub śmierć. Aut Caesar, aut nihil. Przegrawszy zakład, Rimbaud musi skończyć poetyckiem samobójstwem, czyli złamać pióro. Dlatego pisze: „Rozumiem, ale ponieważ nie znam słów pogańskich, chcę milczeć. Nie umieć już mówić“. Oto przyczyna jego zerwania z literaturą, jego równikowej odysei, jego hermetycznego milczenia aż do zgonu. Poeta zszedł do Hadesu, gdzie olśniła go infernalna feerja, ale powróciwszy na ziemię, nie umiał już jej wysłowić. W ostatecznym rezultacie Rimbaud poniósł porażkę, jaką musi ponieść każdy poeta usiłujący wypowiedzieć niewypowiedziane.

Ta Eurypidesowa klęska poety napiętnowana jest jednak stygmatem wielkości. Bo czemu zawdzięcza grecka tragedja swój potężny dech, jeżeli nie właśnie owemu beznadziejnemu, lecz jakże wstrząsającemu zmaganiu się człowieka z przeznaczeniem, straceńczej i zgóry skazanej na niepowodzenie walce? Heroizm przegranej, a podjętej mimo wszystko sprawy, przeistacza w naszych oczach słabego ślepca Edypa w olbrzyma, a zbrodniczą Fedrę w świętą męczennicę. Bohater antycznego dramatu umiera wprawdzie zmiażdżony przez olimpijskie fatum, lecz ginąc urąga w twarz bogom, jak Prometeusz w przepięknym wierszu Goethego. Jak Edyp i Rimbaud, tak każdy twórca, szukając żelaznego listu do Hadesu, potyka się o przeszkody, szamoce się z niemi i targa, ginie wkońcu przed wrzeciądzami, na których ognistemi zgłoskami Baltazara wypisano słowa: „Ignoramus et ignorabimus“. W tym maratońskim — i jakże desperackim biegu do piekieł tkwi właśnie boska wielkość poezji, po której wulkanicznych kraterach i lejach wędruje krytyk i filozof, jak smutny Schliemann błąkający się po zwaliskach poetyckiego Iljonu.

JULJUSZ GROT.

Nowość! *Nowość!*

KSAWERY PRUSZYŃSKI

KSIĘGA PONURYCH NIEDOPOWIEDZEŃ

(na marginesie książki gen. Mieczysława Norwida-Neugebauera „Kampanja wrześniowa 1939 w Polsce")

1000 MIL OD PRAWDY

(na marginesie książki płk. Romana Umiastowskiego „12 mil do Warszawy . . . 30 mil do Paryża")

Cena **1s.**

do nabycia:

M. I. KOLIN (Publishers) LTD.
LONDON: 9, New Oxford Street, W.C. I **PERTH: 38, King Edward Street**
DUNDEE: 24a, Cowgate

ANGLJA I SOWIETY

Dn. 22 czerwca b.r., gdy Hitler rzucił cały ciężar swej machiny wojennej na Rosję, jedną z pierwszych jej ofiar była... dialektyka sowiecka. W ciągu prawie dwóch lat Moskwa i wszystkie jej komunistyczne ekspozytury zagranicą głosiły bez przerwy, że wojna obecna jest „wojną imperjalistyczną", wobec której klasy pracujące na całym świecie powinny zająć stanowisko, podyktowane niegdyś przez Lenina, t. j. szerzyć defetyzm rewolucyjny.

Sowiety, uprawiając perwersyjny flirt z Hitlerem, którego podstawą był pakt nieagresji, zawarty w sierpniu r. 1939, lojalnie wykonywały swe zobowiązania. Stalin starał się prowadzić wobec Niemiec politykę życzliwej neutralności, w nadziei że uchroni go to od wojny. Coprawda, Niemcy nie otrzymały żadnej poważniejszej pomocy od Związku sowieckiego, jeśli chodzi o surowce, lecz pakt ten bardzo im się przysłużył pod względem dyplomatycznym i propagandowym. Komuniści w wielu krajach sabotowali wysiłek wojenny walczących demokracyj, stając się w ten sposób pośrednio sprzymierzeńcami różnego rodzaju żywiołów defetystycznych, izolacjonistycznych, „piątokolumnowych" i t.d. Efekt tego dał się dotkliwie odczuć zwłaszcza w Ameryce.

Na rozkaz Moskwy poszczególne grupy krajowe komunistów, które w pierwszej chwili powitały entuzjastycznie wybuch wojny z Hitlerem jako z największym wrogiem komunizmu, musiały cofnąć swe oświadczenia i dostosować się do „generalnej linji" Sowietów. W związku z tem pamiętny jest odwrót komunistów angielskich na pozycje, wskazane im przez Kreml.

I oto nagle ta „wojna imperjalistyczna" przeobraziła się dla Sowietów w wojnę o „wolność, sprawiedliwość i demokrację". Bomby i czołgi niemieckie zmiażdżyły wszystkie argumenty, przytaczane w obronie paktu z Trzecią Rzeszą. Misterna dialektyka pękła z trzaskiem. Musiało to nastąpić, albowiem niewiele różniła się ona od oportunizmu demokracyj burżuazyjnych, które szukały porozumienia z Hitlerem i starały się ugłaskać drapieżne instynkty napastnika niemieckiego.

Historja się powtórzyła. Stalin, ulegając tym samym złudzeniom i wychodząc z tych samych fałszywych założeń „bezpieczeństwa na ustroniu", popełnił te same błędy, co rządy mocarstw zachodnich przed wojną. Jego obrona post factum była mało przekonywająca. W przemówieniu radjowem po ataku Hitlera na Rosję, Stalin powiedział m. in., że „żaden kraj, miłujący pokój, nie mógł odrzucić układu z sąsiedniem państwem nawet w tym wypadku, gdy na czele jego stali tacy przestępcy i ludożercy, jak Hitler i Ribbentrop". Tu właśnie tkwił zasadniczy błąd i zasadnicze podobieństwo polityki Sowietów do potępianych przez nie metod politycznych demokracyj burżuazyjnych. Nie będzie pokoju na świecie dopóki tego rodzaju racja stanu, z gruntu amoralna, krótkowzroczna i głupia, dopuszczająca możliwość zgodnego współżycia z narodami, rządzonymi przez gangsterów i morderców, stosowana będzie w stosunkach międzynarodowych. Trzeba jednak przyznać, że aczkolwiek błąd Sowietów popełniony został w okolicznościach najbardziej je obciążających, wykazały one dużo zdrowego realizmu, bo tymczasem potrafiły się potężnie uzbroić.

Victor Gollancz w książce swej p. t. „Russia and Ourselves" (Rosja i my")[1] naświetla sine ira et studio ostatnie metamorfozy polityki Sowietów. Ta mała książka pełna jest głębokiej treści, trafnych spostrzeżeń i wniosków.

Przed kilku miesiącami p. Gollancz wydał książkę zbiorową p.t. „Betrayal of the Left" („Zdrada lewicy"), która była druzgocącym aktem oskarżenia pod adresem komunistów angielskich[2]. Należy zaznaczyć że jest on właścicielem znanej angielskiej firmy wydawniczej, założycielem „Left Book Club", że w swoim czasie należał do organizatorów frontu z komunistami do walki z faszyzmem i że przyczynił się wybitnie do propagandy ideologji skrajnie lewicowej w najszerszych kołach społeczeństwa angielskiego. Stanowisko Sowietów przed wybuchem wojny, a bardziej jeszcze podczas wojny wywołało wśród grupy, której jest wyrazicielem, wielkie rozgoryczenie i spowodowało ją do rewizji różnych ortodoksyjnych koncepcyj, uznawanych niemal za aksjomaty.

W nowej swej książce p. Gollancz nie cofa nic z tego co pisał poprzednio. Poddaje ostrej krytyce politykę Sowietów w ostatnich jej przemianach, sądzi jednak, że czas już zapomnieć o dawnych rekryminacjach. Naczelnem hasłem chwili dzisiejszej jest udzielenie wszelkiej możliwej pomocy Związkowi sowieckiemu. Fakt, iż Sowiety walczą obecnie razem z Anglją ze wspólnym wrogiem nie tylko zmienia radykalnie — zdaniem autora — sytuację wojenną, lecz otwiera perspektywy angielsko-rosyjskiej współpracy w odbudowie świata po obecnej katastrofie. Można zakwestjonować zbyt daleko idący optymizm niektórych stwierdzeń i przewidywań autora, ale naogół książka jego wyróżnia się wśród innych publikacyj lewicowych swym umiarem i „common sense"m. Pan Gollancz wzywa do ożywienia socjalizmu angielskiego nowym duchem, kładąc przedewszystkiem nacisk na jego wartości moralne, a nie na doktrynę klasową lub gospodarczą. Domaga się on powrotu do „ewangelicznego" pierwiastku socjalizmu, do walki w imię ideałów ogólnoludzkich, do dynamiki czynu, natchnionego wiarą, bez której nie da się wytępić zło, tkwiące w hitleryźmie, faszyźmie i innych tyranjach.

*

J. T. Murphy, autor „Russia on the March" („Rosja maszeruje")[3], jest jednym z niewielu Anglików, którzy przepowiedzieli obecną wojnę niemiecko-rosyjską. Przewidywania jego sprawdziły się w chwili, gdy przyniesiono mu z drukarni ostatnie korekty jego książki, w której nic nie zmienił, dodając tylko krótkie post-scriptum. Jest to rzeczowe studjum o polityce zagranicznej Sowietów, usiłujące wyjaśnić wszystkie jej wahania i sprzeczności. Pan Murphy, stary działacz socjalistyczny, członek skrajnego skrzydła Labour Party, jest marxistą, sympatykiem Sowietów, b. członkiem Trzeciej Międzynarodówki; stykał się on blisko z Leninem, Trockim, Stalinem i innymi przywódcami rewolucji bolszewickiej. Niedawno ukazała się inna jego książka p. t. „New Horizon", o charakterze autobiograficznym, w której żywo i barwnie opisuje swe przygody i doświadczenia w ruchach rewolucyjnych różnych krajów oraz kreśli sylwetki ich leaderów.

Celem książki „Russia on the March" jest — jak twierdzi p. Murphy — oczynić politykę Sowietów zrozumiałą dla szerokiej publiczności angielskiej. Przyznaje skądinąd że zawiera ona mnóstwo kontrastów wewnętrznych, mogących wywołać zamieszanie pojęć.

Rosja sowiecka — pisze on — jest dzieckiem rewolucji. Jej pierwszy apel, nawołujący do wybuchu rewolucji światowej, rozpalił nienawiść wśród jej wrogów i wzniecił żagiew buntu wśród jej przyjaciół. W stosunkowo krótkim czasie Sowiety odłożyły nabok surmy bojowe i wystąpiły w roli komiwojażera, poszukującego normalnych stosunków handlowych ze znienawidzonemi państwami kapitalistycznemi. Następnie weszły one do wyszydzanej i oplwanej przez nich Ligi Narodów i narzuciły na siebie białą szatę „międzynarodowego rozbrojenia". Później rozpoczęły krucjatę przeciw hitleryzmowi i faszyzmowi pod hasłem zbiorowego bezpieczeństwa, poto by znowu zaskoczyć swych przyjaciół i przeciwników zawarciem paktu z hitlerowskiemi Niemcami i zamianą niepodzielnego pokoju na izolację i neutralność w chwili, gdy Anglja i Francja wzięły się za bary z napastnikiem, którego Sowiety tak zaciekle zwalczały.

Pan Murphy uważa, że te łamańce sowieckie wymagają rzeczowego zbadania. Zdaniem jego, niewiele osób w Anglji potrafiło się zdobyć na objektywne stanowisko względem Sowietów. Przeciwnicy ich potępiali każdą fazę polityki sowieckiej jako złowrogą zapowiedź jeszcze bardziej ponurych konsekwencyj, a ich zwolennicy starali się przedstawić każdy etap tej polityki jako szczyt doskonałości, poto by później wywracać koziołki, które całkowicie podkopały zaufanie do nich i zdyskredytowały ich sądy.

Autor dowodzi, że konflikt zbrojny między Rosją a Niemcami był nieunikniony i że neutralność Rosji była jedynie epizodem, manewrem taktycznym, a nie zasadą ich polityki.

Jakkolwiek prawdą jest — twierdzi on — że wojna obecna ma swe źródło w imperjaliźmie kapitalistycznym, stała się ona i będzie coraz bardziej wojną narodów przeciw najagresywniejszej i najreakcyjniejszej formie imperjalizmu, jaką zna historja. Niemcy, Włochy i Japonja sięgnęły bowiem po panowanie nad światem. Konflikt imperjalizmów przeobraził się w walkę narodów o ich istnienie i jeśli nie zdobędą się one na wspólny front przeciw napastnikom, każdy zosobna straci swą wolność.

FLORJAN SOKOŁÓW.

---

[1] Russia and Ourselves by *Victor Gollancz*. Londyn, Victor Gollancz, 1941; str. 131 i 1nl.

[2] por. nr. 57 „Wiadomości Polskich".

[3] Russia on the March. A Study of Soviet Foreign Policy. *J. T. Murphy*. Londyn, John Lane The Bodley Head, 1941; str. 128.

Olbrzymi skład książek w językach obcych

FOYLES
BOOKSELLERS TO THE WORLD

Książki nowe i używane, na wszystkie tematy

Na składzie prawie 3 miljony tomów

113-125, CHARING CROSS ROAD,
LONDON, W.C.2.

Telephone: GERrard 5660 (16 lines)

POULSEN, SKONE & CO.

Specjaliści w wyrobie znanych bucików „Veldt" dla lotnictwa

12, DUKE STREET, ST. JAMES'S, LONDON i
48, HIGH STREET, OXFORD

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 75%
PŁACIMY NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE ZA BRYLANTY, ZŁOTO (168/- ZA UNCJĘ)
Biżuterję, klejnoty, kamienie szlachetne, srebro, platery antyki i kosztowności wszelkiego rodzaju. Gotówka natychmiast Rząd J. K. Mości przejmuje całe zakupywane przez nas złoto. Prosimy o odwiedzenie nas lub zgłoszenia przesyłkę poleconą.
LINDEN & CO., 85, New Bond Street, London, W.1
PIERWSZY SKLEP JUBILERSKI PRZY NEW BOND ST.

Vaněk KRAWIEC I KUŚNIERZ CZESKI

Każde futro po jego przeróbce wygląda jak nowe.
Płaszcze i kostjumy. Pierwszorzędny krój.
4, William Street, Knightsbridge
również w Bournemouth

POLKI ODWIEDZAJĄ SALON FRYZJERSKI
LUIGI, 46, Buckingham Palace Rd., S.W.1
Mówi się wszystkiemi językami międzynarodowemi
Prosimy o zapowiedź telefoniczną pod VICtoria 9508

WŚRÓD KSIĄŻEK

O CONRADZIE

Niemal równocześnie pojawiły się dwie książki o Josephie Conradzie: jedna pióra polskiego autora, druga autorki angielskiej. Książka „Conrad and his Contemporaries" J. H. Retingera omówiona była w nr. 75 „Wiadomości Polskich" przez Philipa Guedallę, znanego pisarza angielskiego. Praca Miss M. C. Bradbrook z Girton College w Cambridge podkreśla już w samym tytule polskość Conrada, w którym tak szczęśliwie złączyły się natchnienia rasy polskiej i angielskiej[1].

Nie ulega kwestji, że fala zainteresowania Conradem, tak żywa przed dziesięciu laty, nieco opadła, tak jak opadła fala zainteresowania Kiplingiem czy Galsworthym. A jednak Conrad pozostaje nadal wielkim autorem, wielką siłą moralną, człowiekiem skupienia i powagi, który przejrzał tragiczną grę życia i pochylił się szczerze, uczciwie, nad dolą człowieka zawieszonego w samotności, nękanego przez własną wyobraźnię, gnanego siłą mrocznych namiętności. Lektura Conrada jest dalej przeżyciem — a nie tylko czytaniem, nie tylko rozkoszowaniem się stylem, nastrojem, atmosferą. Jest w nim wysoki sprawdzian człowieczeństwa, chciałoby się rzec — charakter, który przekonywa, zdobywa, napawa zaufaniem. Obcowanie z dziełami Conrada jest jak rozmowa z przyjacielem, który nie zawodzi i nie umie kłamać.

Polski dorobek krytyczny o Conradzie przedstawia się dzisiaj wcale pokaźnie. Jeden z pierwszych szkiców o tym autorze, szkic świetny, bogaty myślą, gorący entuzjazmem, skreślił w r. 1925 na łamach „Przeglądu Współczesnego", redagowanego tak bystro i tak rzetelnie przez Stanisława Wędkiewicza, Stefan Kołaczkowski. Dalszą próbą polską była książka autora tych słów „Ze studjów nad Josephem Conradem", wydana w r. 1927. Manfred Kridl poświęcił Conradowi i zagadnieniu jego polskości niezmiernie ciekawe i dociekliwe uwagi (były one drukowane bodaj w „Przeglądzie Współczesnym" w r. 1933). Wreszcie Józef Ujejski dał wzorową, rzetelną książkę o Conradzie, która powinna była pojawić się dawno w przekładzie angielskim.

Książeczka Miss M. C. Bradbrook jest sympatyczna, pracowicie i dobrze ułożona; daje pogląd na całość dorobku pisarza, na przebieg jego literackiej karjery (to słowo brzmi nieco dziwnie jeśli chodzi o Conrada, który tak głęboko przeżywał swoje własne dzieła i z takim trudem tworzył). Autorka angielska jest powściągliwa w sądach, nie ryzykuje syntez — chce opowiedzieć inteligentnie i rzetelnie swoją własną podróż przez kraj Conrada. Zadanie to udaje się jej w pełni. Teza końcowa, że Conrad, to przedewszystkiem Europejczyk, jest słuszna. „Conrad kochał Polskę, Francję i Anglję: Anglję kochał z największą dumą, Francję najgoręcej, Polskę najgłębiej". Krzepiąco brzmią słowa autorki, że Conrad stanowił typ przyszłości: obywatela Europy, który powinien się zrodzić ze zniszczenia i z barbarzyństwa tej wojny.

TRAGEDJA CHESTERTONA

Takie to jest już prawo życia, że słoneczni pisarze tają głębokie dramaty osobiste, że humoryści kończą nieraz samobójstwem i że dzieła autora wyrażają często to czego mu brak, dają upust jego niezaspokojonym pragnieniom, zatamowaniom. G. K. Chesterton, pełnokrwisty, świetny pisarz, znakomity kompan, człowiek wielkiego serca, szlachetnej myśli, jeden z najbardziej uroczych romantyków wszystkich czasów, nie uniknął działania tego okrutnego prawa.

Bratowa jego, Mrs. Cecil Chesterton, opisuje[2] dzieje dwóch braci, z których każdy chadzał własnemi drogami. Gilbert Keith, autor „Człowieka, który był Czwartkiem", twórca postaci księdza Brown, jeden z najdoskonalszych dziennikarzy jakich wydała Anglja (nie umiał natomiast redagować swego pisma), znany nam był dotychczas jako człowiek zadowolony z życia, co to, szczęśliwy do głębi — albowiem umiał radować się radością najgłębszą: samym faktem istnienia. Chesterton jest dla swoich czytelników — a trudno czytać Chestertona bez nawiązania z nim jakiejś serdecznej nici — symbolem zdrowia i śmiechu, czemś jakby wcieleniem słynnego dr. Johnsona, tego stonowanego wydania Gargantui à l'anglaise.

A jednak ten człowiek pełnokrwisty, naładowany energją, entuzjazmem, rozmachem, pędził życie osobliwe, jeżeli chodzi o miłość. Zakochał się w kobiecie oschłej, która chciała go oderwać od kompanji i kieliszka, skazać na bytowanie wpółklasztorne. Chesterton żył latami jak mnich; małżeństwo z kobietą nawpół sparaliżowaną, nienawidzącą sfery płci, było małżeństwem „białem". Bratowa Chestertona rozumie męki, jakie cierpiał Gilbert Keith; uznaje też niebywałą jego lojalność i hart, że nigdy się nie skarżył na ten klasztor i chłód swojego życia, na wygnanie w podmiejskie rejony Londynu, gdzie oschła żona pilnowała, by Chesterton pracował. Gilbert Keith wychodzi z obrazu swojej bratowej nieco jak swawolny chłopczyk, którego pilnują, ażeby odrobił lekcje.

Ale czy surowa opieka żony istotnie nie wyszła na dobre talentowi Chestertona? Czy inaczej nie rozpróżniaczyłby się i nie rozwłóczył po tawernach, od których roi się ulica przygody, czyli innemi słowy Fleet Street, zmora żon dziennikarzy? Niektórzy krytycy książki Mrs. Cecil Chesterton widzą w dziwaczce, żonie Gilberta Keitha, siłę wychowawczą. Kto wie, może istotnie jej ascetyczna tresura wspomogła talent i ujęła go w ryzy. Chesterton marzył o innem życiu, patrząc przez zamglone szyby swojej surowej rezydencji podlondyńskiej.

Na tle książki Mrs. Cecil Chesterton stanie się nam zrozumialsza ta tęsknota, którą Chesterton wkłada niezwykle dyskretnie w usta swoich bohaterów; w jednem z opowiadań swoich (czy nie w powieści „Manalive"?) snuje historję o małżonku, który przeżywa ustawicznie miodowe miesiące ze swoją żoną potajemnie spotykaną i żarliwie wyczekiwaną, albowiem — powiada Chesterton — „małżeństwo powinno być także przygodą". Chesterton szanował świętość małżeństwa i uważał je za rzecz nierozerwalną. Z tej racji nigdy nie zamierzał opuścić swojej żony. Małżeństwo opiewał na kartach swoich książek jako instytucję jedyną w swoim rodzaju — i pozostał wierny swoim słowom.

Pozostał także wierny swojej naturze Anglika, kładąc na dramat osobisty swojego życia pieczęć, pozostał wierny swoim wiktorjańskim obyczajom, nie wspominając nigdy o tem co pozbawiło jego życia wielu radości. Ta dyskrecja Chestertona zasługuje na szacunek.

UKRZYŻOWANI

Na początku wojny rząd brytyjski uznał za właściwe wydać relacje o obozach koncentracyjnych w Rzeszy. Były to relacje równie wiarogodne, co — spóźnione. Albowiem nie od dzisiaj było wiadome co się dzieje w ponurych miejscach kaźni, w obozach koncentracyjnych, tem koniecznem uzupełnieniu i atrybucie wszelkiego totalnego régime'u. Opowiadania o okropnościach tych obozów znane są każdemu, kto mieszkał w Trzeciej Rzeszy. Ofiary obozów w samej Rzeszy rzadko kiedy zdradzały swoje tajemnice. KZ, jak w skrócie nazywano w Rzeszy obóz koncentracyjny, zostawiał trwały uraz na całe życie, a raczej na całą resztę przerażonego i zdeptanego życia. Mało kto w Rzeszy mówił na ten temat — mogli opowiadać tylko ci, co wydostali się z tego piekła.

Żydowski dziennikarz z Wiednia Bruno Heilig należy do tych nielicznych, których KZ nie zmełł zupełnie w swoich nieludzkich żarnach. Relacja, jaką nam daje w tomie „Men Crucified"[3], jest drobiazgowa, autentyczna, pisana bez nienawiści — raczej ze zdumieniem człowieka, który nie może pojąć nadmiaru podłości i znieprawienia ludzkiego. Opis życia w Dachau a potem w Buchenwaldzie, to studja sadyzmu i okrucieństwa na niebywałą skalę. W Dachau, gdzie wywieszono jak na urągowisko na froncie obozu hasło „praca wyzwala człowieka", w Buchenwaldzie, gdzie więźniów uczy się sentymentalnej piosenki — szaleje gromada zwyrodnialców, którzy nie mogą się nasycić własnym sadyzmem.

Heilig pokazuje nam kulisy niemieckiego sadyzmu, czy raczej szkołę doświadczalną sadyzmu. Podkreśla fakt, że w obozach zaprawiają się młodzi chłopcy, którzy służą w formacjach S.S. — nic dziwnego, że adepci tej sztuki wprowadzają potem w krajach podbitych rządy grozy i ohydy. Obok tej gromady zboczeńców, którzy nieustannie szkolą się w sztuce sadyzmu, grasuje banda notorycznych opryszków — zawodowych bandytów, których ceni się w obozach jako „wychowawców". Heilig pokazuje jak te dwa elementy współpracują ze sobą — do czasu, albowiem przeważnie kończy się to wzajemnem wystrzeliwaniem się. Okrucieństwo wyczerpuje się w coraz dzikszych ekscesach, a wreszcie niszczy samo siebie.

Relacja Heiliga jest przeraźliwa. Albowiem szajka oprawców w obozach, to nie tylko sadyści — są to także ludzie sprzedajni, łasi na pieniądze, oszukujący w drobnych rzeczach. Bagno moralne tych obozów jest może równie przerażające jak ekscesy fizyczne; jak słusznie bowiem powiada Heilig, w obozach spełnia się marzenie sadysty: zadręczenie ofiary na śmierć. I dlatego niejednokrotnie znęcanie trwa dopóty, dopóki oprawca nie stwierdzi, nie zobaczy na własne oczy śmierci nękanego — śmierci tej pilnuje, kontroluje chwile zgonu, nie chcąc pozbawiać się i tego ostatniego dreszczu sensacji.

Jest to ponura karta ludzkiej podłości, która dowodzi, że wrodzony naturze niemieckiej sadyzm znalazł wspaniałą pożywkę w systemie totalnym. Obóz koncentracyjny, to przecież ideał satrapy: uczenie ludzi praworządności batem i kaźnią. Manja uczenia, przekonywania każdego do religji panującego, manja nałamywania wszystkich i wszystkiego do jednego szablonu, właściwa Niemcom — tutaj, w tych KZ, przechodzi w patologję. Relacje w stylu Bruno Heiliga świadczą, że naród niemiecki, chlubiący się jurnością swojego zdrowia i „krzepy", w rzeczywistości jest jednym z najbardziej zdegenerowanych narodów świata.

ZBIGNIEW GRABOWSKI.

---

[1] Joseph Conrad (Józef Teodor Konrad Nałęcz Korzeniowski), Poland's English Genius, by *M. C. Bradbrook*, Fellow of Girton College. Cambridge, Cambridge University Press, 1941; str. 8nl. i 79 i 1nl.

[2] The Chestertons. By *Mrs. Cecil Chesterton*. Londyn, Chapman & Hall, 1941; str. IX i 1nl. i 317 i 1nl.i tabl. 8.

[3] Men Crucified. By *Bruno Heilig*, Londyn, Eyre & Spottiswoode, 1941; str. 8 i 302 i 2nl. i tabl. 1.

Ukazała się

broszura polemiczna

STANISŁAWA MACKIEWICZA (Cata) p.t.

PAŹDZIERNIK 1941

FAKTY I DOKUMENTY

Treść: Traktat polsko-sowiecki z dn. 30 lipca 1941. — Rada Narodowa stara i nowa. — Dlaczegożby nie? — Odwaga cywilna i swoboda prasy.— Gdzież jest ten cenzor? — Metody w dyskusji. — Bierna i czynna rola w polityce — Dokument ostatni.

Cena **2s.**

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglji aby zwracali się z zaufaniem osobiście lub drogą pocztową z receptami i z wszelkiemi zapotrzebowaniami farmaceutycznemi lub medycznemi do składów aptecznych:

John Bell & Croyden, 50/52, Wigmore Street, W.1
(*służba dzienna i nocna*)
Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1
Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1

wszystkie pod ścisłą kontrolą

SAVORY & MOORE LIMITED
Aptekarzy Jego Królewskiej Mości
143, New Bond Street
LONDON W.1

ŚPIEWAJĄCA WYSPA

Długie lata pracowały nad tem aby przy pomocy głupoty i szablonu, ba, nawet przy czynnej współpracy niewinnych operetek wyrobić w nas wąskie spojrzenie na szeroki świat. Świat nasz ułożony był w szufladkach. Wystarczyło nacisnąć guziczek „Francja" — a już z szufladki wyskakiwał falbankowy kankan, piosenka na ulicy i apasz w kratkę, ciskający niewinną mamsellę w czerwonej chustce na przygodny bufet z apéritifami. Gdy przyszła kolej na szufladkę „Austrja" — wszyscy uśmiechali się niewiadomo dlaczego słodko i głupkowato, przewracali oczami sentymentalnie, bo przecież wiadomo... Grinzing i Prater i walczyk i tylu Straussów, no i ten „modry" Dunaj. W ten sposób ułożono pojęcia i spojrzenia na świat, kraje, na rzeczy i ludzi. Miała więc i „Ameryka" swoją szufladkę pełną browningów, kidnapperów, gumy do żucia i cowboyów. Gdy nacisnąłeś guziczek z napisem „Anglja" każda nawet przeciętnie inteligentna, młodsza czy starsza panna, która „brała angielski" na pensji, recytowała bez zająknienia: mgła, mgła, mgła, zielona herbata, krwiste mięso, zimny Anglik w „pumpach" i wreszcie ostatni krzyk mody — „pożegnanie po angielsku", czyli opuszczenie towarzystwa bez pożegnania. Tak było.

Pierwsza oszukała nas szufladka z Austrją, przewróciła totalnym sposobem naftaliną przesypane sentymenty i sama w brunatnej koszulinie bez piruetów protestu nagięła się posłusznie do trudnych pas narodowosocjalistycznego walczyka.

Wojna rzuciła nas na szlak europejski, potem przedłużyła ten szlak na wody mórz i zawiodła na wyspę brytyjską. Już w Paryżu okazało się, że szufladki kłamały i oszukiwały nas na potęgę. Napróżno, w chwilach wolnych od nieustannych trosk, szukałeś, nie z chęci rozrywki, ale z ciekawości: brutalnego apasza w kratkę, piosenki ulicznej, (której mniej było niż w przedwojennym Lwowie), a resztki kankana tłukły się podobno w gorszych teatrzykach na przedmieściu. Niewątpliwie wojna mogła i w tej dziedzinie oddziaływać dewastacyjnie, ale równocześnie właśnie wojna mogła się stać tematem paryskiej „chanson". „Chanson" zawiodła. W czasie niedługiej wojny Francuzi zdobyli się w dziedzinie piosenki aktualnej na przekład (zresztą doskonały) amerykańskiej piosenki o linji Zygfryda („...le linge sur la ligne Siegfried"), na bardzo dobrą piosenkę napisaną dla Chevaliera „Ça fait d'excellents Français" i tej samej spółki wysoce artystyczną piosenkę Lucienne Boyer „Mon petit khaki" — to były czołowe utwory francuskiego repertuaru wojennego. Były i inne, które pretendowały do popularności w szeregach żołnierskich, ale z tej grupy przyjęła się tylko p.t. „Une brune, une blonde". Jak na krainę piosenki, jak na opiewaną przez szufladki i rozśpiewaną Francję — było tego stanowczo za mało, toteż francuskie szeregi żołnierskie chętnie wracały do „Madelon" i do angielskiej „Tipperary".

Nigdy nie przebaczymy szufladce angielskiej, bo ta nas okpiła jak żadna. Zapewne, i tu na wyspie popularne były pewne szablony europejskie, wytworzono sobie i tutaj wąskie spojrzenie na szeroką Europę, bo np. zaraz po wylądowaniu w Liverpoolu w czerwcu ub. r. zapytano nas półoficjalnie, dlaczego wszyscy Polacy zgolili brody na statku. Z trudem wytłumaczono zawiedzionym, że nie wszyscy noszą brody, poczem na ogólne żądanie wyszukano gdzieś brodatego sierżanta-szefa, który godnie stanął w potrzebie przed zdesperowaną już prawie ekipą dziennikarską. Jak z tego widać, szufladki funkcjonowały sprężyście po obu stronach mórz i oceanów. Co do mnie, czuję się osobiście najwięcej okłamany przez moją szufladkę angielską, albowiem: mgłę widziałem trzy razy (taką oryginalną made in London) w ciągu roku, zieloną herbatę „melduję negatywnie", krwistego mięsa nie jadłem, natomiast z całą pewnością t. zw. rozbef po angielsku był u nas bardziej surowy.

„Zimnego Anglika" widziałem, gdy po naszem wylądowaniu ściskał ręce żołnierzom polskim, witając ich jak przyjaciół, gdy śpiewał z nami piosenki polskie w obozie w Szkocji, gdy wiwatował na cześć maszerujących oddziałów, gdy szybko nauczył własne dzieci polskiego „dziendobry" i powitaniem tem kazał pozdrawiać żołnierzy polskich w Anglji i Szkocji. „Zimnego Anglika" widziałem przy „fire-place" w jego „home", gdy płakał nad losem Polski i Polaków, w pociągu, gdy w dyskusji przygodnej zaciskał pięści i z ogniem w oczach przysięgał Niemcom zemstę. „Zimnego Anglika" widziałem na lotnisku, gdy z wylewną serdecznością i entuzjazmem mówił o odwadze i bohaterstwie swoich polskich kolegów.

Aha, jeszcze pozostały „pumpy" i „pożegnanie po angielsku". Ad „pumpy" stwierdzam: jeżdżąc miesiąc cały w Anglji, od miasta do miasta — widziałem je trzy razy, przyczem jedne na wystawie sklepowej. Natomiast u nas pumpy noszono na codzień do biura i na wizyty — czasem nawet na zabawy taneczne — „bo to, panie, wiadomo, „moda" angielska". Na takiej zabawie tanecznej, czy na zebraniu prywatnem, gdy ktoś chciał wymknąć się chyłkiem, ściskał pod stołem dłoń gospodyni, znacząco mrugał do pana domu, wstawał od stołu, a w przedpokoju szeptem powierzał służącej wielką tajemnicę wieczoru towarzyskiego: „Ja się ulatniam... po angielsku". W Angliji, gdyby się tak raz pożegnał „po angielsku", jużby go więcej do tego domu nie wpuścili, a towarzystwo zgodnieby orzekło, że ten gentleman jest poprostu „crazy". Szufladko angielska, kłamałaś, kłamałaś, a teraz pewnie pękniesz z nadmiaru złości, słuchaj co ci powiem: ta wyspa śpiewa. Tak, tak, ta wyspa z zimnymi Anglikami w „pumpach", z zieloną herbatą, z krwistem mięsem i z mgłą — ta wyspa śpiewa. Śpiewa jakby świeciło nad nią słońce Paryża, śpiewa jakby przejęła tradycję francuskiej „chanson". Wojna dała jej temat, wojna dała jej nerw, aktualność, wojna wzmogła jej płodnosć, i oto walczą naprzemian o prawo popularności coraz to nowe piosenki, a wyspa gwiżdże z uciechy, nuci w pociągu, w autobusie, w kinie i w teatrze, śpiewa w domu i na ulicy w marszu żołnierskim. Sypią się piosenki za piosenkami. Piosenki inne niż kiedyś nasze, wolne od ucisku cenzora, śmiałe w pomyśle i w tekście.

Na rozgłaszane kłamstwa o tem, że wskutek bombardowań Król przeniósł się z Londynu, odpowiedziała dawno piosenka angielska: „The King Is Still in London", i prawdę tego refrenu śpiewa cała wyspa, od aktora kabaretowego do robotnika w fabryce amunicji, od studentki uniwersytetu do żołnierza. Gdy Mussolini borykał się z Grecją i grzązł coraz bardziej, piosenka angielska czule zajęła się jego kłopotami i zaśpiewała z humorem: „Eh, what a surprise for the Duce". Była to piosenka aktualna, żywa, pomysłowa, złośliwa, toteż rozeszła się błyskawicą po całej wyspie, i każdy niemal dzieciak znał jej łatwy tekst napamięć. Jest rzeczą charakterystyczną, że w Anglji przyjmuje się specjalnie łatwo refren piosenki i jedynie tylko refren. Pierwsza część piosenki, t.zw. „canto", zgóry bywa skazana na stracenie, gdyż prawie z reguły cały wysiłek kompozytora i autora koncentruje się na refrenie, który musi być krótki, prosty i łatwo wpadający do ucha. Tem szukaniem łatwizn można sobie tłumaczyć ogromne powodzenie, jakiem cieszy się w tej chwili na całej wyspie „przebój", zrodzony w Ameryce, którego refren „Yes, my darling daughter" jest niczem innym niż odpisanem zgóry nadół bez żadnych zmian tekstem muzycznym ruskiej piosenki „Oj ne chody, Hryciu"... Propaganda ukraińska w Ameryce działa niepokojąco sprawnie! Powinniśmy pomyśleć nad spopularyzowaniem tu na wyspie i w Ameryce jakiegoś naszego krakowiaczka czy mazurka, poświęcając go na ofiarę jazzbandową, ale zyskując dla niego popularność.

Wyspa śpiewa piosenki smutne i wesołe, żołnierskie i salonowe. Czy to będzie doskonała piosenka wojskowa „Kiss me goodnight, sergeant-major" (odpowiedź na dezyderat pewnego lorda, który żądał, by sierżant-szef był matką dla żołnierza), czy jej mleczna siostra, jeszcze lepsza piosenka „Good morning, sergeant-major", czy też to będzie smutna, zadumana, trudna muzycznie piosenka o bombardowanym Londynie, może jedna z najbardziej wartościowych: „London, I love you" — powodzenie i popularność będą jednakowe. Świadczy to o niezwykłej muzykalności mieszkańców wyspy, którzy gdziekolwiek się zejdą, potrafią gromadnie śpiewać zmiejsca najtrudniejsze, najbardziej karkołomne przeboje, zawsze czysto, zawsze w rytmie, zawsze z tym samym wdziękiem i uśmiechem. W śpiewie tym wyraża się wielkie poczucie wspólnoty brytyjskiej. Nic więc dziwnego, że ulubione ich, wspólnie śpiewane stare pieśni noszą tytuł „Common-songs". Jest to jedna w szczeblowaniu z najniższych ale bodaj że jedna z najważniejszych form współpracy gromadnej „Commonwealth of Nation". Gdy Roosevelt powiedział, że będzie przysyłał coraz więcej broni dla Wielkiej Brytanji — piosenka angielska odpowiedziała w parę dni później: „Thanks Mister Roosevelt and carry on", ale prosiła równocześnie: „Please, convey!". Refren ten huczał powodzeniem w głośnikach radjowych, w teatrach i kinach przez kilka miesięcy. Mógłbym tytuły i przykłady mnożyć w nieskończoność, gdyż angielska piosenka wojenna jest rozrzutna, jest niezwykle hojna, jakby chciała nadrobić dolegliwości wszystkich „ration-cards" i kuponów, więc wyspa śpiewa bez ograniczeń.

Z takiego poczucia wolności zrodził się doskonały foxtrott p.t. „His Majesty The King" (sic!). Piosenka o Królu w formie foxtrotta. Widzę już taką scenę w pokoju naszego cenzora: „Panie — foxtrott o Głowie Państwa? Czy Pan już stracił głowę? Czy Pan dopiero chce stracić własną głowę?! ". A tutaj jest foxtrott o Królu, i to doskonały, odtwarzany z wielkiem przejęciem przez artystów w radju, grany przez czołowe orkiestry, gwizdany przez widownie rewjowe, fabryczne, chórem zwarcie śpiewany przez grupy robotnicze i żołnierskie, a wszędzie silnie, równo i z entuzjazmem. Ten foxtrott p.t. „His Majesty the King" szczególnie mi przypadł do serca. Nic dziwnego, wyrosłem w krainie dobrej, miłej i pięknej, ale w krainie, w której piosenki o wielkich śpiewało się zwykle po ich śmierci i ściśle według znaków czerwonego ołówka. Inne powietrze na tej wyspie, choć mgła — a jednak mniej mglisto. Poprostu kocha się Króla i kocha się piosenkę i dlatego śpiewa się piosenkę o Królu.

Uczmy się piosenki angielskiej, oddychajmy jej prostotą i szczerością, cieszmy się jej wolnością, podziwiajmy śmiałość tekstu, śpiewajmy foxtrotta o Królu i foxtrotta o Roosevelcie — uczmy się śpiewać wspólnie, razem, *tak żeby jeden drugiego nie chciał przekrzyczeć*, żeby nie było... fałszów — niedociągnięć i falsetów — poprostu „common song".

WIKTOR BUDZYŃSKI.

W poprzednim 6-stronicowym numerze (83) „Wiadomości Polskich" (7 ilustracyj): *Ryszard Wraga:* Prawda Rosji sowieckiej. Z cyklu „Mit XX wieku". — *Władysław Broniewski:* Droga. — *Antoni Słonimski:* Pozdrowienie dla Władysława Broniewskiego. — *Juljan Tuwim:* Kwiaty polskie. Fragmenty opowieści poetyckiej. — *Stanisław Mackiewicz:* Personel ministerstwa spraw zagranicznych. — *Ksawery Pruszyński:* W Polsce było inaczej. — *Zygmunt Nowakowski:* Vanity Fair. — *Arkady Fiedler:* Uśmiech poprzez krew. Z cyklu Dywizjon 303". — *Janusz Witek:* Trzy Gdynie. — *Zbigniew Grabowski:* Przyjaciółka Polski. — *Alfa:* Rozmaitości. — O wolność prasy. — Korespondencja. — Czytelnicy o Wiadomościach Polskich". — „Miecz Ducha". — „Obzor" o numerze czechosłowackim „Wiadomości Polskich". — Skarbnica Polska. *Kazimierz Tetmajer:* Sobek Jaworcarz jaki honor miał. Ze „Skalnego Podhala".

Nowość! *Nowość!*

Czesław Poznański

FEDERACJA... ALE JAKA?

cena 1/6

do nabycia w księgarniach M. I. KOLIN (Publishers) LTD.: LONDON: 9, New Oxford Street, W.C.1. PERTH: 28, King Edward Street. DUNDEE: 24a, Cowgate.

VIRGINIA COWLES O POLSCE

Virginia Cowles była przy narodzinach obecnej wojny. Przyglądała się próbie generalnej w Hiszpanji, widziała jak Hitler zabierał Czechosłowację, obserwowała nastroje w Niemczech i Włoszech, odwiedziła Rosję, śledziła zbliska przebieg wojny rosyjsko-fińskiej, znalazła się w Paryżu na kilka godzin przed wkroczeniem Niemców, przeżyła „blitz“ w Londynie...

Wrażenia nagromadzone przez nią w ciągu ostatnich czterech lat[1]), to fragmentaryczna historja Europy widziana oczami dziennikarki amerykańskiej. Pełno tam bystrych obserwacyj oraz interesujących szczegółów, gdyż autorka miała okazję spotkać się z najwybitniejszemi osobistościami naszej epoki.

Virginia Cowles nie dojechała do Polski podczas kampanji wrześniowej, przedtem nie zatrzymała się u nas w drodze do Rosji i śledziła tragedję Polski niejako z drugiej ręki. Mimo to warto przytoczyć niektóre z jej uwag.

*

Sierpień 1939 r. zastał autorkę w Rzymie, gdzie nie była szczególnie mile widziana ze względu na swój nieprzyjazny stosunek do faszyzmu. Ale hr. Ciano, minister propagandy Dino Alfieri oraz książę del Drago odarzali ją względami. Pewnego dnia Virginia Cowles spędziła z nimi popołudnie na plaży w pobliżu Rzymu.

„Leżeliśmy na piasku — opowiada — w cieniu wielkich parasoli. Szeroką promenadą zbliżył się do nas starszy pan z córką, oboje w kostjumach kąpielowych. Ciano i Alfieri zerwali się na ich powitanie, natomiast del Drago poszedł powoli w przeciwną stronę. Byłam zaskoczona, że Ciano okazuje komuś taką uprzejmość, i gdy del Drago wrócił, zapytałam go, kto to taki.

— Ambasador polski generał Długoszowski — odpowiedział. — Chętnie uścisnąłbym mu rękę i powiedział że ocalimy jego kraj. Niestety jednak, jest już za późno. Nie możemy nic zrobić.

Więc taka decyzja zapadła w Berchtesgaden. Niemcy wyznaczyli datę rozpoczęcia wojny i postanowili iść naprzód za wszelką cenę. Nic dziwnego że pływanie było dla Ciana radosnym wypoczynkiem“.

*

Dn. 31 sierpnia Virginia Cowles przyjechała do Berlina. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin spędzonych w stolicy Rzeszy doszła do wniosku że większość Niemców nie zdawała sobie sprawy z konsekwencyj ataku na Polskę. Niemal nikt nie wierzył że był to początek nowej wojny światowej, że Wielka Brytanja i Francja dotrzymają sojuszu z Polaką.

*

Dn. 19 września autorka znalazła się w Czerniowcach.

„Kiedy przechodziłam przez hall lichego hoteliku przy głównej ulicy w Czerniowcach, przyszło mi na myśl — opowiada — jak wiele straszliwych historyj możnaby napisać o ludziach znajdujących się w tym jednym pokoju.

„Przez trzy dni uchodźcy polscy ciągnęli bez przerwy przez granicę, uciekając przed masakrą niemieckich czołgów i samolotów. Niektórzy przyszli pieszo z plecakami, inni przyjechali na wozach i wózkach, jeszcze inni w pogruchotanych samochodach, załadowanych paroma przedmiotami jakie zdolali ocalić. Wąskie ulice rumuńskie pokryte były grubą warstwą błota, i policjanci ustawieni celem likwidowania zatorów w ruchu, spędzali większość czasu na przeklinaniu miejscowych furmanów, których wózki, ciągnione przez osły, z reguły utykały na samym środku jezdni. Wieśniacy rumuńscy zdawali się być oszołomieni tym piorunem, który nagle zmienił spokojne oblicze ich miasta; gromadzili się dokoła pogruchotanych samochodów polskich i z chorobliwą ciekawością gapili się na ich numery rejestracyjne.

„Hotelik przy głównej ulicy zamienił się w jakiś tragiczny „Grand Hôtel“. Przepełnienie było tak duże że ludzie spali w hallu na podłodze — a nie byli to tylko uchodźcy, lecz również dziennikarze zagraniczni, dyplomaci i attachés wojskowi, którzy kilka godzin temu przekroczyli granicę. Polaków można było jednak rozpoznać z łatwością. Wyróżniali się zabłoconemi ubraniami oraz oszołomionym wyrazem twarzy. W kącie hallu jakaś Polka siedziała sama i płakała. Nie wydawała żadnego głosu, lecz godzinami siedziała bez ruchu, a łzy spływały po jej twarzy. Jej głowa miała piękny kształt, jej palce były długie i wąskie.

„Wszędzie dokoła widać było tragedję złamanych istnień ludzkich. Co chwila uwagę człowieka zwracał jakiś incydent, — fragment porwanego na strzępy obrazu, — pobudzając wyobraźnię, podczas gdy my zastanawialiśmy się, jakie też są dzieje tych ludzi. Pamiętam dwóch porządnie ubranych chłopców-Polaków, którzy weszli do hallu z blaszanemi samolocikami w rękach i dumnie objaśnili portjera: „Mon père est un pilote“ — i pamiętam wyraz twarzy ich matki, jakby ją ktoś uderzył gdy wypowiedzieli te słowa. Pamiętam mężczyznę, który niespokojnie kręcił się po hallu, spojrzał na wchodzącą dziewczynę, jakby zobaczył upiora, a potem podbiegł do niej, objął ją i oboje zaczęli śmiać się histerycznie. Pamiętam także troje dzieci siedzących na walizce w kącie hallu i czekających na rodziców, od których zostały oddzielone. Portjer powiedział nam iż nie wie, jak tym dzieciom wytłumaczyć że granica została zamknięta przed kilku godzinami i że mało jest nadziei na przyjazd ich rodziców.

„Był to wtorek 19 września, dokładnie dwa tygodnie i cztery dni od chwili rozpoczęcia niemieckiego ataku. Przed 48 godzinami armja sowiecka przekroczyła granicę, i Polska znalazla się między młotem a kowadłem swoich potężnych sąsiadów. Ostatnia granica — rumuńska — zamknięta była na wszystkie spusty, i Polska, odcięta od reszty świata, czekała na stracenie“.

*

Virginia Cowles opowiada jak usiłowała dostać się do Polski, ale trudności wizowe i komunikacyjne sprawiły że przybyła do Bukaresztu za późno. Stamtąd brytyjski attaché lotniczy lord Forbes zabrał ją samolotem do Czerniowiec.

„Gdy rano przyjechaliśmy na lotnisko, — pisze, — powitał nas niezwykły widok. Poprzedniego dnia polskie dowództwo naczelne rozkazało swoim pilotom polecieć do Rumunji by ocalić w ten sposób maszyny przed wpadnięciem w ręce Niemców. Blisko trzysta samolotow[2]) — czterdzieści dwumotorowych bombowców i przeszło dwieście myśliwców — wylądowało na lotnisku. Na podłodze poczekalni spało przeszło stu wyczerpanych i nieogolonych łotników; ich mundury były podarte i brudne a wielu miało zabandażowane twarze i ręce.

„Jeden z tych oficerów doprowadził tu maszynę z szesnastoma dziurami od pocisków — wynik walki z Rosjanami. Był to wysoki szczupły mężczyzna z krzyżem Virtuti Militari na brązowej kurtce. Powiedział mi że zdobył ten krzyż w r. 1921 kiedy Polacy zdołali odpędzić bolszewików od Warszawy. „Tym razem — dodał — udało się im“.

„Chociaż nie jadł nic od przeszło dwudziestu czterech godzin i zdawał się być u kresu sił, odmówił przyjęcia od nas pieniędzy. Wyprostował się dumnie i potrząsając głową, powtarzał: „Non, merci, jestem pułkownikiem armji polskiej“.

„Wszyscy oficerowie, z którymi rozmawiałam, ożywieni byli tym samym nieugiętym duchem. Nie chcieli litości, nie prosili o pomoc; jednego tylko pragnęli z namiętną determinacją — uciec z Rumunji i wstąpić do lotnictwa francuskiego. Jeden z pilotów pochodził z miasta na Pomorzu. Jego rodzina zginęła podczas bombardowania, a dwaj jego bracia, lotnicy, zostali zestrzeleni podczas walk kilka dni przedtem. „Co z nami zrobią?—pytał wciąż lorda Forbes. — Nie mogą nas zamknąć — musimy się przecież bić dalej“.

„Zabraliśmy go do restauracji, gdzie dostał herbaty (jedyny napój jaki można tam było otrzymać), a chociaż miał przy sobie tylko kilka monet, upierał się że zapłaci rachunek. Na szczęście, kierownik restauracji uratował sytuację, nalegając abyśmy byli gośćmi lotniska.

„Przelot z Bukaresztu do Czerniowiec trwał około dwóch godzin, i wylądowaliśmy już o zmroku. Także i tutaj przybyły samoloty polskie. Jeden skapotował przy lądowaniu, i jego kadłub sterczał na tle jasnego jeszcze nieba jakby ogromny czarny krzyż“.

Virginia Cowles podkreśla że w Polsce Niemcy zastosowali po raz pierwszy metody wojny totalnej oraz że posługiwali się na wielką skalę piątą kolumną. Armja sowiecka natomiast użyła „bardziej subtelnej strategji“, udając na początku że wkroczyła do Polski by walczyć z Niemcami.

*

Autorka wróciła do Londynu wstrząśnięta widokiem polskiej tragedji. Praca dziennikarska zaprowadziła ją później do Finlandji, Włoch i Francji, poczem znowu do Anglji. Tutaj, w okresie najcięższych nalotów niemieckich, Virginia Cowles zetknęła się raz jeszcze z polskimi lotnikami.

Razem ze znanym dziennikarzem amerykańskim Knickerbockerem odwiedziła lotnisko R.A.F.; tam, wśród pilotów angielskich „było dwóch Polaków, którzy dopiero co zostali przydzieleni do dywizjonu i czekali na swoją pierwszą walkę. Ponieważ umieli tylko kilka słów po angielsku, Knickerbocker zwrócił się do nich po niemiecku, gdyż tym językiem mówili płynnie. „Jeśli to panu nie sprawia różnicy, — powiedział jeden z nich tonem łagodnej wymówki, — wolelibyśmy mówić po angielsku“.

„Rozmowa była prawie że niezrozumiała, — pisze Cowles — pamiętałam jednak polskich pilotów których widziałam w Rumunji, i nie trzeba mi było mówić jakie są uczucia tych dwóch lotników“.

*

Pierwszą wzmiankę o Polakach znajdujemy w rozdziale o Rosji. Gdy Virginia Cowles była w Kijowie na pół roku przed wojną, napotkała na rozmaite trudności ze strony miejscowych władz, i konsul Rzeczypospolitej Matusiński ułatwił jej zwiedzenie wsi ukraińskiej, użyczając swego samochodu.

„Przed wyjazdem z Kijowa — pisze autorka — pożegnaliśmy się z konsulem polskim p. Matusińskim, który był tak miły dla nas. W sześć miesięcy później, gdy Rosjanie wkroczyli do Polski, wyrwano go z łóżka o północy i zabrano na przesłuchanie do komendy policji. Nikt nie wie, jakiego rodzaju badaniom trzeciego stopnia poddano go, gdyż wszelki ślad po nim zaginął. Gdy zapytywano władze sowieckie o to brutalne postępowanie, twierdziły, że nic im niewiadomo o losach konsula, i podsuwały myśl, że spotkał go „wypadek“. Ironicznie zaproponowano przeprowadzenie poszukiwań ciała“.

---

[1]) Looking for Trouble by *Virginia Cowles*. Londyn, Hamish Hamilton, 1941; str. VIII i 469 i 3nl.

[2]) Virginia Cowles popełnia błąd, gdyż Polska rozpoczęła walkę rozporządzając niewiele wyższą liczbą samolotów, i jest mało prawdopodobne aby 240 z nich zdołało ocaleć z 18-dniowych nieustannych walk. Autorka widziała zapewne w Rumunji liczne polskie awjonetki sportowe i maszyny szkolne.

J. LANGER — POLSKI KUŚNIERZ
dawniej pracownia w Katowicach
Wykonywa futra NOWE i przeróbki wszelkiego rodzaju. Specjalne udogodnienia dla prowincji.
59, KNIGHTSBRIDGE, S.W.1
Telefon: SLO 3626

ROZMAITOŚCI

„Daily Express“ zamieścił fotografję kilku dziewcząt angielskich, spacerujących pod rękę z jeńcami włoskimi, którzy zatrudnieni są obecnie przy robotach rolnych.

Zdjęcie to wywołało szereg protestów, i sprawa dotarła aż do parlamentu. Tam doszło do następującej wymiany zdań:

I. C. HANNAH (konserwatysta): Mam nadzieję że rząd położy kres ukazywaniu się takich zdjęć.

BRENDAN BRACKEN (minister informacji): Nie. Rząd nie powinien nic robić dla położenia temu kresu. Wniosek, by rząd wystąpił w tej sprawie, jest wielką omyłką. Wolność prasy jest równie ważna jak wolność parlamentu. Zamieszczenie fotografji było kwestją smaku, a ja nie jestem dyrektorem smaku w Wielkiej Brytanji.

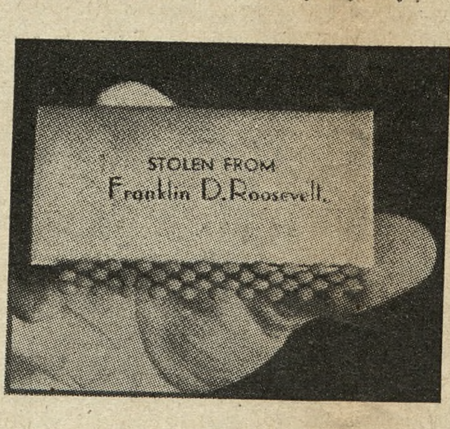

Prezydent Roosevelt zabezpiecza swoje zapałki (patrz notatkę w tekście)

*

Konferencje prasowe u Roosevelta odbywają się zawsze atmosferze pozbawionej formalizmu, i stosunki Prezydenta z prasą są doskonałe. Oczywiście, wszyscy palą podczas konferencji i...często zabierają ze sobą zapałki, które stale znajdują na stołach. Powinienem raczej powiedzieć: „zabierali“, gdyż Roosevelt położył kres temu zwyczajowi. Niedawno dziennikarze znaleźli na sali konferencyjnej w Białym Domu zapałki zaopatrzone napisem: „Skradzione Franklinowi D. Rooseveltowi“.

*

Przegląd schronów londyńskich wykazał że mimo całkowitego braku nalotów sypia w nich zdumiewająco wielu ludzi. Schrony stały się dla nich rodzajem klubów, gdzie spotykają znajomych i przyjaciół, plotkują i spędzają czas w dosłownie ciepłej atmosferze.

*

Flamandzkie pismo hitlerowskie „De Nationaal-Socialist“ wyznaczyło premje za pozyskanie nowych prenumeratorów. Za 33 nowe ofiary gorliwy kolporter otrzyma czarną koszulę, a za 40 — parę spodni albo egzemplarz... „Mein Kampf“.

*

Rozgłośnia moskiewska donosi że przy jeńcach niemieckich znaleziono egzemplarze gazetki, która odpowiada na pytania żołnierzy. Jeden z kaprali zapytał np., czy nie możnaby zmusić jeńców polskich do walki z Rosjanami i ocalić w ten sposób wielu Niemców. Odpowiedź brzmiała: „Jeńcy polscy zatrudnieni są w Niemczech przy rozmaitych robotach. Pracują oni bez zapłaty, co wychodzi na korzyść Niemców. Należy jednak przestrzec przed lekkomyślnością, gdyż ci Polacy mogą lada chwila wystąpić czynnie. Musimy bacznie uważać. Jeńcom polskim nie można powierzać broni, gdyż obrócą ją przeciw nam“.

*

Okazuje się że puszki z konserwami można przechowywać co najmniej przez 117 lat. W tych dniach otworzono bowiem konserwy sporządzone w r. 1824 dla ekspedycji Sir Edwarda Parry'ego, która wybierała się do północnych Indyj. Dwie puszki z cielęciną i marchewką przechowywano w jednem z muzeów londyńskich. Zarówno mięso jak marchewka były w bardzo dobrym stanie, ale... nikt nie odważył się ich skosztować.

*

Gdy reżyser Selznick zabrał się dwa lata temu do nakręcania filmu „Gone With the Wind“ („Uleciało z wiatrem“), producenci ryzykowali miljon funtów, gdyż tyle kosztowały prace nad tym filmem. Ryzyko opłaciło się, skoro dotąd kinomani całego świata zapłacili osiem miljonów funtów za oglądanie obrazu, którego wyświetlanie trwa 3 godziny 40 minut.

*

W Palestynie jest obóz jeńców niemieckich. Internowani dali wyraz nienawiści do premjera brytyjskiego, zwracając się do miejscowego czyściciela i zamiatacza obozu per „Mr. Churchill“. Zabawa trwała przez pewien czas, aż nagle zamiatacz zniknął bez śladu.

Podczas inspekcji obozu, która odbywa się co dwa tygodnie, jeńcy skarżyli się komendantowi, że nikt nie sprząta w barakach.

— Bardzo mi przykro, — odpowiedział dowódca, — ale panowie niewątpliwie zdają sobie sprawę że p. Churchill zajęty jest prowadzeniem wojny na czterech kontynentach celem złamania Hitlera. Dopóki nie osiągnie on tego celu, panowie będą musieli sami czyścić baraki, nie wyłączając klozetów.

*

P. G. Wodehouse, którego pogadanki radjowe z Berlina narobiły niedawno wiele hałasu, zamilkł nagle i postanowił nie przemawiać już przed mikrofonem niemieckim.

Jak słychać, Wodehouse otrzymał okrężną drogą list przyjaciela z Anglji, który pisze mu o reakcji na jego wystąpienia.

*

Jeden z filarów faszystowskiego „Giornale d'Italia“, Manzini, wylądował w obozie koncentracyjnym.

Jego zbrodnia polegała na napisaniu artykułu, w którym napomknął że Mussolini ma już 58 lat. Tymczasem od chwili gdy nieudolny naśladowca Cezara przekroczył pięćdziesiątkę, nie wolno pod żadnym warunkiem wspominać o jego wieku.

*

Tygodnik „New Statesman and Nation“ ukazał się z dn. 4 października b.r. bez ogłoszeń. Redakcja wyjaśnia że spowodu braku papieru musiałaby albo ograniczyć obieg pisma, albo też jego treść. Wybrano trzecie wyjście — wyrzucając ogłoszenia. W przyszłości „New Statesman“ umieszczać będzie tylko niewielką ilość ogłoszeń, i to w ograniczonych rozmiarach, tak aby nie zajmowały zbyt dużo miejsca.

*

W obecnych czasach nadmiernego pesymizmu warto zanotować przykład zdrowego optymizmu.

Ukazał się niedawno tom „Who Was Who“, zawierający krótkie biografje osób zmarłych w latach 1929—1940. Przy każdem nazwisku podany jest numer telefonu.

ALFA.

RESTAURACJE FRANCUSKIE
Ostrygi—Ryby—Muszlaki

LA COQUILLE
RESTAURANT
79, St. Martin's Lane, London, W.C.2 Temple Bar 8768
W NIEDZIELE ZAMKNIĘTA

i

LA CIGALE
RESTAURANT
29, Romilly Street, London, W.1
w Soho Gerrard 3437
OTWARTA W NIEDZIELE

ODWAGA CYWILNA A WOLNOŚĆ PRASY

W świeżo wydanej broszurze „Październik 1941. Fakty i dokumenty“ pióra Stanisława Mackiewicza znajdujemy artykuł „Odwaga cywilna a wolność prasy“, w którym czytamy m.in.:

W związku ze sprawą „Jestem Polakiem“ Rząd wydał komunikat dn. 22 listopada ub.r., że *„ze względu na jedność narodową wychodzić powinno na obczyźnie tylko jedno pismo polityczne, mianowicie „Dziennik Polski“*).*

Na tak „demokratyczne“ stanowisko odpowiedziałem listem otwartym do p. Premjera, wskazując, że monopol rządu na prasę polityczną stanowi cechę wyłącznie ustrojów totalistycznych. Nikt dotychczas nie wpadł na ten koncept poza Stalinem, Mussolinim i Hitlerem. Nawet półtotalistyczna Hiszpanja nie ma monopolu rządowego na prasę polityczną.

Pisząc ten list, nie występowałem bynajmniej w obronie „Jestem Polakiem“. Gdyby tu chodziło o „Robotnika“, broniłbym tak samo „Robotnika“. Moja walka z rządem Składkowskiego o wolność prasy była swego czasu dość głośna, i nie chciałem, aby mi ktoś mógł zarzucić, że nie mając własnej gazety, biorę mniej do serca sprawę swobody prasy.

Zasada, ogłoszona w komunikacie Rządu z dn. 22 listopada, nie została jednak wcielona w życie. „Dziennik Polski“ nie był jedynem pismem politycznem na obczyźnie. Prócz „Dziennika“ wychodziły także subsydjowane przez Rząd „Wiadomości Polskie“, zamieszczające stale artykuły polityczne, zaczęła wychodzić również subsydjowana przez Rząd „Myśl Polska“, pismo o wyraźnie politycznym charakterze, wychodził, aczkolwiek rzadko, „Robotnik“, żydowska „Przyszłość“ i wreszcie „Zwrot“. Oczywiście, były to wszystko pisma polityczne.

Poza temi pismami wojsko wydaje szereg wydawnictw.

Ale wystarczyło, aby „Wiadomości“ i „Myśl“ wypowiedziały zdanie przeciwne polityce rządowej, jak się to stało spowodu paktu z Sowietami, aby Rząd cofnął subsydjum. Dopiero wtedy się okazało, że subsydja, których dawanie motywowane było względami kulturalnemi, w istocie uwarunkowane były popieraniem Rządu przez subsydjowane pismo.

Krótko mówiąc: szkoła charakterów.

Ciągle się mówi o tem, że pisma muszą ulegać ścisłej cenzurze rządowej, aby nie szkodzić interesom Polski, tymczasem właśnie w „Dzienniku Polskim“, oficjalnym organie Rządu, znajdujemy artykuły najszkodliwsze dla racji stanu państwa polskiego, jak o tem na innem miejscu pisać będziemy.

---

*) Komunikatowi temu poświęcił Ksawery Pruszyński w nr. 39 „Wiadomości Polskich“ specjalne omówienie p.t. „O wolność prasy“, w którem pisał m.in.: „...nie możemy widzieć w tym akcie prasowym tych znamion zamiłowania do wolności, swobody przekonań i politycznego realizmu, który chcielibyśmy w nim widzieć“.

KONKURS NA SZTUKĘ O OBRONIE WARSZAWY

Dn. 14 sierpnia b.r. zebrało się jury konkursu w składzie: Stanisław Baliński, Antoni Boguslawski, Bronisław Hełczyński, Antoni Słonimski, Tymon Terlecki, w celu ostatecznego rozstrzygnięcia konkursu na sztukę o obronie Warszawy, rozpisanego przez P.E.N. Club polski i Światowy Związek Polaków z Zagranicy. Zebraniu przewodniczył Bronisław Hełczyński.

Po rozpatrzeniu nadesłanych na konkurs siedmiu sztuk, w ostatecznych rozważaniach jury wzięło pod uwagę sztuki następujące: „Warszawa“ (godło „Wielkość ludzi codziennych“), „Za naszą wolność i waszą“ (godło „Wilk“), „Nasze miasto walczy“ (godło „Stare Miasto“).

Jury doszło do wniosku, że żadna ze sztuk nie odpowiada dwum łącznym warunkom konkursowym: wartości literackiej i możliwości realizacji scenicznej.

Wobec powyższego jury nie widzi możności przyznania żadnej sztuce nagrody i uznaje konkurs za zamknięty bez wyniku.

Po odbiór sztuk można się zgłaszać listownie lub osobiście w godzinach rannych do sekretarjatu P.E.N. Clubu (9, Royal Avenue, London, S.W.3).

*

Światowy Związek Polaków z Zagranicy zwraca się do autorów trzech wyżej wymienionych sztuk z prośbą o skomunikowanie się (55, Princes Gate, London, S.W.7) w sprawie ewentualnego wydania drukiem i wystawienia tych sztuk w skupieniach polskich w Ameryce.

Nowość!
Ukazała się praca
EUGENJUSZA TURSKIEGO
EMIGRACJA ZBROJNĄ POMOCĄ POLSCE — WRZESIEŃ 1939
z przedmową gen. dr. **Izydora Modelskiego,** pierwszego wiceministra spraw wojskowych polskich sił zbrojnych na obczyźnie.
Znikoma część egzemplarzy, za zwrotem kosztów 12s., do nabycia wyłącznie u autora — Rubens Hotel.

KORESPONDENCJA

LEWICA, WELLS I MÓJ PRZEKŁAD

Do redaktora „Wiadomości Polskich“

Pan Antoni Słonimski zaatakował mnie równocześnie w dwóch pismach w: „Robotniku“ z dn. 1 października b.r. oraz w „Polsce Walczącej“ z dn. 4 t.m. Chociaż w obu wypadkach nazwisko moje nie zostało wymienione, nie widzę powodu ażeby uwagi p. Słonimskiego pozostawić bez odpowiedzi.

W artykule „O ludziach, którzy wsiedli do fałszywego pociągu“ w „Robotniku“ p. Słonimski wspomina, że „Wiadomości Polskie“ nazywają „doskonałem pismem“ „Myśl Polską“..., „a przecież to właśnie doskonałe pismo ogłosiło niedawno niewiarogodny artykuł o przedwojennej literaturze polskiej, artykuł z ducha hitlerowski“. To ja, a nie „Wiadomości“, nazwałem „Myśl Polską“ „doskonałem pismem“ na podstawie trzech ostatnich zeszytów, które wykazały duży wysiłek i uczciwy poziom pisarski. Nie cofam tego określenia, chociażby nawet p. Słonimski widział w tem „osobliwą zgodność z endekami“. Byłem i jestem pisarzem niezwiązanym z żadną partją polityczną i nie żywię żadnego zaślepienia partyjnego. Nie sądzę, żeby jakakolwiek partja polityczna miała monopol na rozum polityczny, a zawsze uznam chętnie solidność pracy. Artykuł, o którym wspomina p. Słonimski, był może chaotyczny i jednostronny, ale doprawdy, niebardzo rozumiem, dlaczego odrazu „z ducha hitlerowski“. Tego rodzaju epitetami publicysta nie powinien szafować bez zastanowienia. Podważa to bowiem zaufanie do metod jego myślenia.

„Z przykrością stwierdzić musimy, że główny sprawozdawca polityczny „Wiadomości Polskich“ — pisze dalej p. Słonimski — systematycznie zniechęca czytelnika polskiego do lewicy angielskiej, a dzieła pisarzy angielskich tendencyjnie preparowane są i przedrukowywane we fragmentach, które mogą podrażnić nacjonalizm polski“.

Twierdzenie p. Słonimskiego jest oczywistą nieprawdą. Od czterech lat pisuję z terenu angielskiego, starając się informować możliwie objektywnie czytelnika polskiego o Anglji. W artykułach moich napewno więcej było krytyki prawicy angielskiej aniżeli lewicy. Istotnie, od trzech lat widziałem zbawienie Anglji nie w lewicy, ale w osobie Winstona Churchilla, a rządy Chamberlaina uważałem za groźne dla tego kraju. Pochlebnie omawiane przeze mnie w „Wiadomościach“ prace, jak np. Roberta Della „Geneva Racket“ czy Sir Charles'a Petrie „Twenty Year's Armistice and After“ (por. nr. nr. 49 i 63 „Wiadomości“) były morderczym atakiem przedewszystkiem na politykę konserwatywnej Anglji, chociaż dostało się tam także i „Labour Party“ oraz MacDonaldowi. Jeżeli chodzi o owe „dzieła“ pisarzy angielskich, które rzekomo „tendencyjnie“ preparuję, sądzę, że p. Słonimskiemu chodzi o Wellsa, albowiem — jak pisze p. Słonimski w „Polsce Walczącej“ — podaję cytaty z Wellsa w formie „fantastycznie zniekształconej“.

Tłumaczę z angielskiego sporo lat, mam za sobą nieco tomów przekładów powieści i sporo przekładów szkiców i artykułów angielskich. Naogół nie zarzucano mi nigdy, ażeby przekłady moje były niewierne, choćiaż uznają zasadę tłumaczenia swobodnego; ponieważ język angielski jest wyjątkowo zwarty i zwięzły, niejeden okres angielski trzeba rozbić, uzupełnić, czy wytłumaczyć raczej niż przetłumaczyć. Oczywiście, przyznaję, że nie mam dla Wellsa tego ubóstwienia, jakie żywi dla niego p. Słonimski: literatura angielska nie zaczyna się dla mnie od Wellsa a napewno się na nim nie kończy.

Pan Słonimski stawia pod znakiem zapytania rolę wychowawczą, jaką odgrywają moje artykuły o Anglji oraz moje przekłady z literatury angielskiej. Odpowiadam mu na to prosto: pracuję i pracować zamierzam na tem polu dalej, według najlepszego mojego rozeznania. Wszelkie rady dawane w dobrej woli są cenne dla każdego pisarza, natomiast uwagi nacechowane partyjnem czy klikowem zacietrzewieniem, podejrzliwością i pretensjami niczem nieuzasadnionemi muszą wywołać odpowiedź, że p. Słonimski ma niewiele autorytetu, jeżeli chodzi o sądzenie przekładów z angielskiego, a jeszcze mniej, ażeby rozdawać cenzury i oceny dla ludzi, którzy mają jedną tylko ambicję: pracować uczciwie i informować objektywnie.

P.S. — Już po napisaniu tych uwag przeczytałem list p. Słonimskiego w nr. 83 „Wiadomości“. Pan Słonimski jest zdania, że „rzeczowa suchość oryginału angielskiego“ została celowo wypaczona w moim przekładzie, przez co tekst „nabiera obcej oryginałowi swady i zaczepności“. Każdy czytelnik Wellsa wie, że pisarz ten daleki jest od „rzeczowej suchości“ i że właśnie „swada i zaczepność“ stanowią wybitną cechę tego pisarza pełnego uprzedzeń, namiętności, niechęci. Zarówno ton artykułu Wellsa, jak i jego broszury, omówionej przeze mnie w nr. 80 „Wiadomości“, jest zaczepny, pełen nonszalancji wobec t.zw. małych państw, pełen pozy proroka. Nie sądzę zatem ażeby swobodny przekład takich czy innych zwrotów w artykule Wellsa wypaczał w jakimkolwiek stopniu zarówno myśl jak intencje autora.

Pan Słonimski stara się sprowadzić na boczny tor dyskusję, wykazując dowolności tłumacza tam gdzie jest mu wygodnie, a przemilczając tekst Wellsa gdzie jest on wyraźnie obraźliwy (zestawienie sprzymierzonej Polski z państwami „osi“, Węgrami i Rumunją). Nic nie zmieni faktu, że rzekomo „sucho objektywny“ Wells przepełniony jest już nie niechęcią ale nienawiścią do pewnych państw i instytucyj (np. kościół katolicki) i że w swoich uwagach wraca z manjackim uporem do Polski, która mu najwidoczniej przeszkadza. Szkoda, że p. Słonimski, który tak skwapliwie piętnuje dowolności w przekładzie Wellsa, nie zdobył się po wielu miesiącach pobytu w Anglji na uprzejme chociażby sprostowanie jaskrawych przeinaczeń prawdy, jakich dopuszcza się Wells wobec Polski.

ZBIGNIEW GRABOWSKI.

O „GROŹNY CIEŃ“

Do redaktora „Wiadomości Polskich“

Po przeczytaniu feljetonu Pana p.t. „Jętyszał czyli groźny cień“ w nr. 82 „Wiadomości Polskich“ mam zaszczyt prosić o przyjęcie do wiadomości kilku szczegółów, które sprostują pewne informacje, mogące rzucić nie „groźny“ wprawdzie, ale w każdym razie niewłaściwy cień na działalność Wojskowego Biura Propagandy i Oświaty.

Powieść „Groźny cień“, której część nakładu rzeczywiście wzięło w komis Biuro Propagandy i Oświaty, nie jest powieścią tłumaczoną w Anglji. Jest to przedruk z warszawskiego „Tygodnika Illustrowanego“, który jeszcze przed wojną 1914—1918 uchodził za jedno z najpoważniejszych polskich pism literackich. Powieść ta nie jest ani sensacyjna, ani kryminalna. „Groźny cień“ jest to cień Napoleona nad Anglją. Conan Doyle był autorem nie tylko wsławionych w całym świecie „Przygód Sherlocka Holmesa“, ale pisał także bardzo ciekawe powieści historyczne. Do takich prac należy m. in. i cytowana książka. Akcja powieści dzieje się w Szkocji, w okresie spodziewanej inwazji na wyspy brytyjskie. Powtarzają się nazwy miejscowości, których broni dzisiaj żołnierz polski, są bardzo ciekawe analogje dziejowe, i dlatego z „Tygodnika Illustrowanego“ sporządzono odbitkę dawno na język polski przełożonej powieści historycznej.

Co się tyczy słowniczka ortograficznego — to jest to fotograficzna odbitka polskiego wydania tej pracy, z tego też powodu ani pochwała ani krytyka nie może nas dotyczyć.

Pan Redaktor był łaskaw zainteresować się naszemi skromnemi wydawnictwami, wymieniając tylko jedno z nich. Pozwalam sobie zwrócić uprzejmie Jego uwagę, że książek wydanych w ostatnim czasie przez Biuro Propagandy i Oświaty jest znacznie więcej. Tak, wydaliśmy 2 tomy „Historji Polski“ Sobieskiego, „Najstarsze dzieje narodu polskiego“ Sulimirskiego, dalej pamiętnik z tragicznych dni oblężenia Warszawy, pozatem broszury „Niemcy w Polsce“ i „Walki w obronie granic“. Dzieje tych broszur mają historję, i bardzo będę szczęśliwy jeżeli i ten dział naszej pracy nie ujdzie uwagi Pana Redaktora.

SZEF BIURA PROPAGANDY I OŚWIATY: ADAM MORBITZER, MJR. DYPL.

*

D. J. Z „Hymnu pochwalnego“ nie skorzystamy.

J. K., T. W. Listy przesłaliśmy.

K. H. w Edynburgu, St. Br. Rzecz Matuszewskiego ukaże się po angielsku nakładem firmy M. I. Kolin.

L. Br. Ignacy Matuszewski przebywa obecnie w Nowym Jorku (149 East 67th St.).

Jeden z czytelników. Za piękną inicjatywę dziękujemy, ale ponieważ fundusze na wydanie artykułu Matuszewskiego po angielsku się znalazły, łaskawie ofiarowane 10s. przekazaliśmy na stypendjmu im. sierżanta Jerzego R.

J. K. O Apolonjuszu Kędzierskim ukaże się w „Wiadomościach“ artykuł Henryka Gotliba. — Za miłe słowa dziękujemy.

P. Z. Pomysł wydawania „Wiadomości Polskich“ dwa razy tygodniowo jest narazie niemożliwy do zrealizowania. — Za zaufanie dziękujemy.

J. Szw. Nie skorzystamy.

Czytelnicy o „Wiadomościach Polskich“

S. B.: chciałbym... podziękować p. Ignacemu Matuszewskiemu za jego artykuł jak najgoręcej. Taka jest rzeczywiście *nasza wola*... I właśnie dlatego, czy nie należałoby koniecznie przetłumaczyć i rozpowszechnić ten świetny artykuł... który ukazuje niezbitą prawdę historyczną, na język angielski, aby o tem wiedział każdy Brytyjczyk i Amerykanin. Myślę, że tak! Bo wolę naszą uzewnętrzniamy i chcemy uzewnętrznić wszystkiem tem co jest w naszej mocy. Jeśli redakcja „Wiadomości Polskich“ nie ma na to funduszu... jeżeli tego funduszu nie będzie miał i Fundusz Kultury Narodowej lub jaki inny fundusz rządowy, to znajdzie się fundusz z naszych własnych żołnierskich kieszeni.

Dr. F. G. w Sydney: ... gdy otrzymałem pierwszy numer „Wiadomości“, nie wątpiłam na chwilę że to jakaś jasnowłosa „fairy“ zlitowała się nad głodomorem duchowym i przesłała cudowny pokarm. Czytamy to pismo z takiem wzruszeniem, że nawet na wspomnienie przeczytanych stron łzy kręcą się w oku. Przecież to wszystko takie bliskie, takie istotne, takie zajmujące, że brak słów, aby wyrazić uznanie, nie, to niewłaściwe określenie, aby wyrazić głęboką wdzięczność, że coś takiego powstało. Że ten trud zrodzony gdzieś tysiące mil od nas, w warunkach gorszych zapewne, niż nasza fantazja zdoła wymalować, że ten trud przemienia się w jaźniach odległych czytelników w jakąś niewypowiedzianą rozkosz duchową. Ujrzeć nazwisko Zygmunta Nowakowskiego jako autora artykułu wstępnego, ujrzeć litery, nie, nuty, składające się na nowy wiersz Tuwima, Słonimskiego czy innych, przeczytać reportaże Pruszyńskiego lub historję nowoczesnego Szwejka, znaczy przeżyć wstrząs psychiczny. Czytamy tak skrupulatnie, dajemy innym, posyłamy pocztą do znajomych, że zostają strzępy z każdego numeru.

J. K.: Artykuł płk. Matuszewskiego jest wydarzenien, na które czekaliśmy oddawna. Był niezbędny, musiał być napisany, i to już, natychmiast. Że jest tak świetny, tak trafiający w sedno, tak ponad i poza wszelką polemiką możliwą z *naszego* punktu widzenia — tem lepiej dla *naszej* tutaj sprawy. Autorowi jesteśmy wdzięczni i stwierdzamy to tym listem, Panu Redakatorowi za jego umieszczenie... również, jak i za szereg innych świeżo i dawniej...

K. K.-Ł.: Mam do Pana Redaktora wielkie zaufanie i wielką wdzięczność za umiejętność mówienia prawdy.

S. M.: ...świetny artykuł Matuszewskiego... „łopatą do głowy“ pakuje ...prawdę o Polsce.

T. W.: Składam Panom serdeczne podziękowanie za zamieszczenie artykułu Matuszewskiego „Wola Polski“... Jest to właściwy sposób wypowiedzenia się głęboko czującego i mądrze myślącego Polaka... jest to lampa przewodnia dla Polaków, którzy się zagubili w powodzi wydarzeń i wypowiedzeniach „literatów“. Jest to wskazanie, ku jakiej Polsce idziemy. O co się chcemy bić! Dotychczas otrzymywaliśmy wynurzenia, od jakiej Polski kto uciekł albo jakiej Polski nienawidzi. Tu mamy poprostu podane, jakiej Polski chcemy. Pomoże to nam czekać w szarzyźnie codziennych ćwiczeń, doda nam siły na codzień, tej najrzadszej, najtrudniejszej do posiadania.

W. W. w Moskwie: Przeglądałem „Wiadomości“ z prawdziwem wzruszeniem. Wielkie wrażenie zrobiły na mnie wiersze Słonimskiego — nie mogłem się ich naczytać.

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C. 2; Published every Tuesday at 229/231, High Holborn, London, W.C. 1.

SKARBNICA POLSKA

ADAM MICKIEWICZ

Niezgody emigracji naszej

Kilka słów o jej ruchach

Nieprzyjaciele nasi otrąbili po świecie niezgodę emigracji; stronnicy ich roznoszą echem te odgłosy tryumfu; rodacy nasi zapewne trwożą się i smucą. Jest w tym wrzasku nieprzyjaciół dowód ich słabości; dowód, że udając wielką pogardę ku nam, boją się nas dotąd i raczą kłamać na naszę intencję. Niezgody emigracji sprawie publicznej nie grożą i łatwo się tłumaczyć dają. Jeżeli o tak małych rzeczach, jak poema lub obraz, ludzie w czasach pokoju często kilka lat rozprawiają i kłócą się, cóż za dziw, że zmuszona do nieczynności emigracja ruminuje przeszłość i różnie sądzi o teraźniejszości? Ale mimo różności zdań, w jednem kardynalnem pytaniu jest jednomyślność: nikt nigdy nie zgodzi się ani z Mikołajem, ani z królem pruskim, ani z Austrjakiem, ani z żadnymi królami, które Mikołaja są. Dwa stronnictwa możnaby odróżnić u nas: oba równie poczciwe, równie sprawę ojczystą rade dźwignąć lubo różnemi środkami. Jedni, nie chcąc czekać ani chwili, czynią, działają, jak mogą, słowem, piórem, bronią: zachęcają wszystkich do przedsięwzięć pojedyńczych nawet, do prób najniebezpieczniejszych, pełni zaufania w bliską i szczęśliwą przyszłość. Drudzy chcieliby pierwej złączyć w jedno znaczną masę sił i środków, nim coś przedsięwezmą. Są i tacy, którzy mają jeszcze nadzieję, że się rządy upamiętają, nawrócą; radzą więc na czas przynajmniej zawrzeć z rządami armistycjum, nie wyzywać ich i nie brać na kark nowych nieprzyjaciół. (Niestety, te rządy, starzy to nasi nieprzyjaciele).

Z różności zdań wypływa różność działań, nieszkodliwa dla sprawy naszej, o ile skierowana jest zewnątrz. Nie oburzamy się bynajmniej przeciwko tym, którzy próbują Filipa nawrócić, króla angielskiego naprawić, izbom i parlamentom uczucia szlachetne natchnąć, chociaż znamy zatwardziałość grzeszników; żądamy, aby nie oburzano się również na ludzi, którzy sobie wzięli za godło: „kto nawrócić się nie dał, da się zamordować“, a zawsze pewni jesteśmy, że pierwszy szczęśliwy wypadek, pierwsza pieśń zwycięstwa wszystkich połączy.

Napada nas tu trochę choroba miejscowa, gadania i pisania, adresomanja i proklamacjomanja, i gorsza jeszcze manja pisania teoryj przyszłych konstytucyj z tytułami i artykułami nawzór „assemblée constituante“, Sieyèsa i t.d.; ale choroba ta, jak grypa zaraźliwa, nie jest wcale śmiertelna, pochodzi tylko z braku świeżego powietrza obozowego. Szkoda, że nagabani byli nią ludzie, którzy mają talent do najtrudniejszego i najpiękniejszego rodzaju literatury narodowej, t.j. talent pisać biuletyny zwycięskie na bębnie. Kto taki talent posiada, niech go zachowa na ważniejsze przedmioty.

Wszakże, piśmiennictwo nie przeszkadza emigracji jąć się do działania ile razy wypadnie okoliczność. Zaledwie koledzy rozłożyli papiery, zaostrzyli pióra, poruszyli prasy, aż oto rozchodzi się wieść, że coś ma stać się w Niemczech: i Wiara, podarłszy papier na ładunki, resztą masy drukarskiej wąs poczerniwszy, ruszyła tegoż wieczora w pole. Nazajutrz drukarze zdziwieni znaleźli oficynę pustą i klamkę kołkiem zatkniętą. A w kilka dni słychać że jeden z autorów bił się o mil kilkadziesiąt w Niemczech, drugi może walczy w Polsce.

Porównał Lelewel, w jednem z dzieł swoich, z dziwną trafnością Rzeczpospolitą polską do mrowiska, w którem lubo nie było jednej centralnej władzy jak w pszczelniku, wszakże roje pracowały zawsze zdaje się bezładnie, a w jednym celu, razem odbudowywając dom rozwalony, razem rzucając się na nieprzyjaciela. I pielgrzymstwo nasze bardzo do tego mrowiska podobne: różnych dróg próbują, w różnych kierunkach snują się emigranci, ale zawsze początkiem i końcem ich wędrówek — ojczyzna. Obóz emigrancki bez komendy dotąd: wychodzą sami żołnierze, zajmują stanowiska przednie w Szwajcarji, wysyłają eklererów do Niemiec, a nawet tyraljery dotarli do Polski; inni zajrzeli do Portugalji, czy warto i tam punkt jaki obrać; mamy forpoczty i na Wschodzie.

Jak w obozie przed bitwą z rozmów żołnierskich można dowiedzieć się o stanie rzeczy i o przyszłych wypadkach więcej czasem, niż z planów kwatermistrza, tak i politykowanie domowe emigrantów godne uwagi. Niezawodnie, głębsze jest i szersze niż politykowanie ministrów i gazeciarzy francuskich i angielskich; bo ci pogrążają się albo w politykę chwilową, uliczną, albo ulatują w abstrację; rzadko za Paryż i Londyn, a nigdy prawie za Ren i Alpy nie wyglądają. Pielgrzymi nasi posiadają (jak mówią po staropolsku) geografję i politykę podeszwianą: wydeptali niemało krajów; a zmuszeni są potęgą i liczbą nieprzyjaciół tudzież uczuciem wielkiem sprawy swojej, sięgać myślą daleko w przyszłość i szukać oczami sprzymierzeńców od Kaukazu do Piramid. Najmniejszy fenomen polityczny zwraca ich uwagę; są to pasterze chaldejscy, ustawicznie patrzący w niebo, o których wiemy, że lepiej znają ruch gwiazd i odgadują zmiany temperatury, niżeli członkowie biura długości.

Rodakom naszym, mieszkającym w kraju, dziwno byłoby widzieć gdzieś w zakątku Europy kilku braci, przywykłych niegdyś do życia wiejskiego, do domatorstwa, rozprawiających teraz o czterech częściach świata, które myślami a często i nogami przebiegli. W jednem z miasteczek francuskich taką słyszeliśmy rozmowę.

— A kolega skąd przybywa? — zapytał Maciek obywatela-Żmudzina.

— Z Ameryki, — odpowiedział telszewianin, — zajrzałem tam; ale obywatele-Amerykanie handlują tylko, o wojnie za wolność ludów nie myślą, więc wróciłem do Europy, może dostanę kilka talarów, parę pistoletów, pójdę do kraju bić się z Moskalem; a kolega gdzie rusza?

— Byłem u Don Pedra, — odpowiedział drugi, — ale sprawa jego nie warta funta prochu; tłuką się kto, czy Pedro czy Michał, ma panować; co nas to obchodzi?

— Ja — rzekł trzeci — wracam z Bruksełli. Myśliłem, że Leopold szczerze wojnę zacznie, i chciałem z pułkownikiem N... ułożyć się o pomoc dla Belgów; ale widzę, że Leopold jest rurą, na której Filip trąbi, więc cóż stamtąd mądrego posłyszeć?

— Możeby — odezwał się czwarty — trzeba było z Mehmetem porozumieć się, a w każdym przypadku najlepiej tym udało się, którzy już się z Moskalem biją i na ziemi ojczystej zwycięstwo albo śmierć znajdą.

Zapewne, niejednemu z polityków takie przedsięwzięcia wydają się śmieszne. Kiedy Normandowie po raz pierwszy w małych czółenkach, po kilku i kilkunastu, na brzegi Europy zaczęli zaglądać, i tu lub owdzie spaliwszy dom lub statek, odpływali, któż na nich zwracał uwagę, któż się ich lękał? Jeden był człowiek, który ich lekce nie ważył. Był to Karol Wielki! Czytamy w kronikarzach, że Karol, starzec naówczas, patrząc z okien nadmorskiego pałacu swego na łódki tych awanturników, kiedy się dworzanie z nich naśmiewali, zamyślił się smutnie i przepowiedział z tych łódek wielką burzę dla Europy. W kilkadziesiąt lat, Normandowie przebiegali wzdłuż i wszerz Europę — duch normandzki stał się duchem czasu.

ADAM MICKIEWICZ.

31 *maja* 1833 *r.*

STANISŁAW WYSPIANSKI

O czci dla bohaterów

Ukończyłem właśnie czytać książkę Askenazego o księciu Józefie Poniatowskim. Jakże ogromna i tragiczna dola rozwija się w tej księdze o wielkim rycerzu. Bez słowa krzywdy dla nikogo — w zamknionej piersi tłumiąc ból ducha — dla Polski tylko i na jej tylko Polski służbie wszędzie i zawsze dla Polski HONORU i SUMIENIA.

Można się było domyślać, można było zgadywać z portretów jego, z miłości narodu do jego imienia, z legendy jego rycerskiej i śpiewów o nim, że tajemnice w nim są i skarby w tej duszy wielkie i żar — co ze śmiercią nie stygnie.

Ale dopiero po przeczytaniu tej książki wie się o tem, że domysł i przeczucie, to nowa dla niego krzywda i wielkiej jego rzeczywistej tragedyi przyćmienie. Tę tedy należy poznawać i czytać i znać i dlatego czytać należy dzieło Askenazego.

Potocznie dzieje te księcia są opowiedziane. Szybko i mimo wielu szczegółów zwięźle i jasno. Że rys nie pominięty żaden i ruch żaden, a całość ująć łatwo i do końca tchem jednym czytając, nie przyjdzie zaznać znużenia i jest się wszystkich księcia trosk i skąpych radości, tryumfów i rozpaczy i wyczekiwań nękających i błysków genjusza świadkiem i patrzy się w tę postać wielką z drżeniem i umiłowaniem, z zapałem i trwogą przez czas czytania kart ostatnich o dniach kilku pod Lipskiem, by — ostatnie czytając wiersze — ujrzeć ją olbrzymią, zapadającą w mętną topiel wód wezbranych.

Mówiono i powiedziano już zapewne wiele, pięknie i czule o Poniatowskim księciu i pięknym jego zgonie, ale może niedosyć powiedziano i niewyraźnie zadość, za co ginął i czem żył.

Jaką to w sobie świętą miał moc, dla której i przez którą żył i dla której ginąć był gotów i walczył i dla której zginął.

Mówićby chyba kto nie umiał, gdyby nie znalazł słów dla księcia Józefa, a duszyby chyba nie miał, gdyby ku niemu ze wzruszeniem nie poglądał, gdy rycinę jego przedstawiającą lub portret gdzie dojrzy — ale niechże książkę tę Askenazego czyta, to dowie się, jak i jak bardzo człowiek ten kochania godzien i godzien uwielbienia i jak dalece stał straszno samotny. To co było jego tajemnicą, to SUMIENIE i HONOR, a jedyny ku temu cenzus znajdywał jedynie w sobie. O straszna dolo! Jedynie sam miarę sobie swoją mógł dawać i jedynie sam o SUMIENIU tem swojem i HONORZE wiedział. Wiarę miał wielką, i stąd właśnie tę wiarę tak wielką i przez nią właśnie był jedyny.

Na rzecz jedną znamienną zwróciłbym w tej książce uwagę, i wdzięczność należy się Askenazemu za to, że tak tę książkę ujął i objął. Od młodości aż po zgon żywot jest cały, a nareszcie raz nie spotykamy się z galerją kochanek i miłostek katalogiem. A nareszcie raz nie dowiadujemy się nigdy, w kim się książę „Pepi“ kocha dziś, w kim kochał się wczoraj, miesiąc temu i t.d. Widocznie interesują te sprawy autora niniejszej książki tyle co interesowały i samego księcia Józefa. Tu i owdzie jest wzmianka, ale właśnie dosyć, by ważność jej zrozumieć. Zato pominięto wszystko, co zgoła żadnej nie miało mieć wartości. Jest to zatem książę Józef odkryty i zrozumiany i poezja o księciu-rycerzu prawdziwa.

Jakże wdzięczni bylibyśmy naszym pisarzom, historykom literatury, monografje piszącym i posągi usiłującym stawiać granitowe dla Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego — gdyby te posągi były mniej obwieszone kolekcją pięknych coprawda miniatur niewieścich, kolekcją jednak zbyt liczną, że i często pierś i czoło monumentu obwieszonemi cackami przesłania.

O romansach tego bardzo romansowego księcia nie dowiadujemy się nic, i widzimy odrazu, kim był książę Poniatowski i o czem to z życia jego powinniśmy PAMIĘTAĆ i WIEDZIEĆ.

O bo zaprawdę nie łatwo wziąć do ręki te książki, które rzeczy słusznie i prawdziwie przedstawią i które oczy nam mogą otwierać, abyśmy co naszą zdobyczą jest, poznawali i wiedzieli. A moc i mnogość wielka książek, które się czyta, a które psują naszego ducha i światło jego, ku któremu dąży, ćmą przesłaniają.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

WESPAZJAN KOCHOWSKI

NAGROBEK MĘŻNYM ŻOŁNIERZOM

Nie z marmuru w mauzolu,
Nie w ceglanym grobie,
Ale w otwartem polu
Odpoczywasz sobie,
O mężny, o serdeczny
Z wojskiem twem hetmanie,
Pamiątki godny wiecznej
Poko Polski stanie.
Pułki kozacke idą
Przeciwko przymierzu,
Ustąpić masz ohydą,
Waleczny żołnierzu.
Wali się orda często,
Wyjąc hałła w huku,
Strzały swe puszcza gęsto
Z napiętego łuku.
Niestraszna śmierć jonaku,
Nie boi się rany,
Droższa sława Polaku,
Niż żywot kochany.
Więc wiedząc o co idzie,
Zwątpiwszy w zwycięstwie,
Byliście Leonidzie
Porównani w męstwie.
Przemogła wielkość cnotę,
Zbite polskie ufce,
I na wieczną sromotę
Na tej legły kupce.
Aleć droga sromota
I czyn to waleczny,
Nie szanując żywota
Los znieść szczęścia wsteczny,
Więc, duchy świątobliwe,
Spoczywajcie w Bogu,
Których ordy złośliwe
Zniosły na Batogu.
Waszej tej wiecznie trwały
Cnocie za zarobek
Ręce nasze sypały
Ten z darnia nagrobek.

WESPAZJAN KOCHOWSKI.

STEFAN WITWICKI

DO SOSNY POLSKIEJ, ZNALEZIONEJ W JEDNYM Z OGRODÓW CHATENAY

Gdzie winnice, gdzie wonne pomarańcze rosną,
Domowy mój prostaku, witaj, moja sosno!
Od matek i sióstr twoich oderwana rodu,
Stoisz, sierota, pośród cudzego ogrodu.
Jakże tu miłym jesteś gościem memu oku!
Oboje doświadczamy jednego wyroku.
I mnie także poniosła pielgrzymka daleka;
I mnie na cudzej ziemi czas życia ucieka!...

Czemuż choć cię starania czułe otoczyły,
Nie rozwinęłaś wzrostu, utraciłaś siły?
Masz tu wcześniej i słońce i rosy wiośniane,
Przecież gałązki twoje bledną poschylane:
Więdniesz, usychasz smutna śród kwietnej płaszczyzny;
Niema dla ciebie życia, bo niema ojczyzny!

Drzewo wierne! Nie zniesiesz wygnania tęsknoty.
Jeszcze trochę jesiennej i zimowej słoty,
I padniesz martwe! obca ziemia się pogrzebie...
Drzewo moje! Czy będę szczęśliwszy od ciebie?

STEFAN WITWICKI.

WŁADYSŁAW SYROKOMLA

LITWA

Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta,
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!
Niepokaźne na oko dzikie twe zacisze,
Nie tak jak u Auzońców i Helwetów słyszę,
Gdzie pola, jak raj ziemski, jako świata dziwo,
Gdzie lasy zarastają mirtem i oliwą,
Gdzie góry od Ponarskich wyższe tysiąc razy
Takie cudne co chwila stawią krajobrazy,
Takie rzeki kaskady i jeziora tworzą,
Że je Włosi malują i na dziw rozwożą
Po litewskich jarmarkach, gdzie je naród chwyta...
Ty nie dojdziesz tej sławy, Litwo rodowita!
Twoja ziemia posępna, twe niebo bez blasku,
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieźć w obrazku;
Nie spada w katarakty twoja woda sina,
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina,
Z nieociosanych bierwion klecone twe domy,
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,
Rzekłbyś, patrząc na niego, że do trzech nie zliczy.

A jednak do twej treści zajrzawszy głęboko,
Litwo! tyś więcej warta, niż zda się na oko:
Pieszczota oceanu, dziwowisko świata,
Z twych sosen wyciosana brytańska fregata;
Siermiężny syn twych wiosek poto ziemię kopie,
Aby głodno nie było pięknej Europie;
Nie zląkł się prosty szlachcic, karmiony twem żytem,
Ani Turków pod Wiedniem, ni skał pod Madrytemi.

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

STEFAN ŻEROMSKI

Pokusa

Najmłodszy z synów JW. Pani Anny Krzywosąd-Nasławskiej poświęcił się stanowi duchownemu. Od lat pacholęcych zdradzał niezwykłe zamiłowanie do modlitwy, był cichy, pokorny, nadwyraz poważny i świątobliwy. Kształcił się w Rzymie pod okiem dalekiego kuzyna-kardynała i tam też, lat zaledwie dziewiętnaście sobie licząc, seminarjum chlubnie ukończył. Ponieważ nie mógł, dla braku lat odpowiednich, otrzymać święceń kapłańskich, przybył do kraju po raz pierwszy od lat wielu i w domu matki zamieszkał.

Umieścił się w narożnej izdebce pałacu, pustej i wilgotnej jak cela więzienna, sypiał na ziemi, pościł bez przerwy, księgi łacińskie czytał, podobno nawet biczował się nocami i pod wyszarzaną sutanną kleryka nosił włosienicę. Był niewysłowienie dobry, łagodny, przebaczający urazy i nieznośnie skromny.

Jeżeli siadał, to na samym brzeżku krzesełka, jak gdyby się lękał, by w chwili nastąpić mogącego wniebowzięcia o stołek sutanną nie zawadzić — chodził na paluszkach, jakby pod podeszwami sandałów miał mistyczne jakieś druciki, chroniące od pyłu ziemi — przemawiał językiem niesłychanie biblijnym, unikał ludzki, szeptał modlitwy na widok dziewczyn wiejskich...

Codziennie przed świtem opuszczał mieszkanie i szedł w pola. Tam najłatwiej mógł znajdować nazwy dla Stwórcy, tam ekstatyczne jego marzenia najszersze zataczały kręgi. Ścieżką, wydeptaną wśród niezmiernego łanu żyta, wstępował na wzgórze odległe, gdzie w cieniu sosen kryła się leśna, napół zmurszała kapliczka.

Dnia tego szedł jak zwykle. Okolica zanurzona była jeszcze w mroku nocy, choć na wschodzie paliła się już liljowa wstęga brzasku. U kolan ździebeł żytnich wisiały wielkie krople, zmoczona była przez nie ścieżynka, schylały się pod jej ciężarem szypułki kłosów. Zboże, słabo oświetlone brzaskiem, jak wielka fala, rzucało się ku górce, aż do lasu, w który wkraczało zatokami. Wisiał w powietrzu zapach ziemi dojrzewającego zboża, co roznieca w człowieku poczucie sił, zdrowia i młodości. Ostry, wilgotny oddech lasu pociągał stamtąd, z tej czarnej głębiny wielkich drzew, po których szczytach rozchodzić się zaczął przedświt niebieski. Kleryk szedł wolno, nogi jego posuwały się bezwładnie, ręką prowadził po powierzchni żyta. Spod nóg zrywały mu się skowronki i dzierlatki, i wpadały jak kamienie coprędzej w gąszcz zbożowy.

Brzask się w zorzę rozlewał, jak płomień wielki, oświetlał szczeliny, wąwozy i załomy w czarnych chmurach, leniwo leżących nad lasem. Stuletnie świerki, wieńczące szczyt góry, wyszły z nocy niespodziewanie wielkie i wspaniałe, jak kapłany słowiańskie. Gałęzie ich sterczały na przezroczystem tle błękitu, niby ręce wyciągnięte do słońca, które przejdzie.

Nagle przepłynęła nad ziemią gwałtowna fala: — to pomruk wiatru, goniec świtania, zleciał z gałęzi świerkowych, zwiastując ziołom, trawom, zbożom: słońce!

Zdawało się, że ziemia drgnęła, że zaczyna bić jej serce. Potem i wiatr zwinął skrzydła, i zawisł w przestrzeni pachnącej żywicą, wikliną i zbożami. Nastała chwila śmiertelnej ciszy, długa i dobra, nastała tajemnicza minuta przedświtu, kiedy rośliny spalają wszystek węgiel, jaki tylko pochłonąć są zdolne...

Księżyk miał wzrok zwrócony na zorzę. Słowa modlitwy wytaczały się z jego serca na usta, jak się wytacza żywica na skórę sosny, gdy przyjdzie wiosna. Doszedł do kapliczki, otwarł drzwi, zbite kołkami z szarych deszczułek, i upadł na twarz z rozłożonemi rękami przed wizerunkiem Chrystusa, narysowanym niezgrabnie ręką prostaka.

Dusza jego uciekła, zdało się, z ziemi pod stopy Boże. Za chwilę spadną ze źrenic jego łuski ślepoty, ujrzy oblicze Przedwiecznego...

Nagle rozlega się rubaszny, brutalny prawie śpiew chłopski:

> Wtedyś mi się, wtedy, Hanka, spodobała,
> Jakeś się na polu, jak gąska, bielała...

Śpiewce tej odpowiedziała inna, kobieca, zdaleka dochodząca:

> Nie ja się bielała — koszulina lniana,
> A tyś, Jasiu, myślał, że ja malowana!...

Młodzieniaszek podniósł się z ziemi i stanął w progu kaplicy. Zobaczył wysokiego parobczaka w koszuli, bosego, w kapeluszu słomianym, karczującego na zrębie lasu jałowce. Drab ten wydzierał z ziemi kilofem korzenie, obmotywał sobie ręce gałązkami i wyciągał krzaki wraz z bryłami ziemi. Ścieżką szła dziewczyna, niosąca na plecach brzemię chwastu. Róg spódnicy zatknęła za pas, szerokie jej ramiona zbiegały się ku sobie pod ciężarem, głowę tylko, okrytą „szmatką“ czerwoną, podnosiła ku górze, gdzie pracował parobczak. Gdy stanęła na zakręcie ścieżki, kopacz zastąpił jej drogę, odwiązał końce płachty z jej piersi, brzemię złożył na ziemi. Odpychała go rękami, śmiejąc się.

Ksiądz zasłonił sobie dłońmi oczy, lecz po chwili ręce mu opadły na głos nowej śpiewki obojga, która odbijała się w lesie. Była to dziwna muzyka... Las, jak napięta struna, drgał i zanosił się od uderzeń tych głosów:

> W ogródecku — wisienecka,
> A w sadecku dwie,
> Kochałem cię, Hanuś, z mała
> Ludziom nie sobie,
> Dawałem ci na trzewicki,
> A tyś nie chciała,
> Béłaś wtedyk młodziuleńka
> Niezrozumiała...

Szli na dół, między zbożami, które sięgały do ich głów, pochylonych ku sobie. Głowy te jaskrawo odrzynały się od szarego żyta, oświetlone przez miedziany, olbrzymi puklerz słońca, które wyszło na krawędź parowu. Szli długo, miedzami, póki ich zboże nie zakryło zupełnie.

Łzy płyną spod zamkniętych powiek kleryka, ręce jego załamują się gwałtownie... Nieznane słowa, które nazywają po imieniu tęsknotę i błagania miłosne, cisną mu się na usta.

Mówi je do widma o łzawych oczach, o długich splotach dziewiczych włosów, które wypływa z jakiejś jaskini i spada mu na oczy. Wstaje w nim jakaś siła nieznana, nieodegnana, natrętna, potężna, potwornie słodka, i wciąga go w daleki przestwór. Dzika wolność duszy rozpętała powrozy i wyrywa się, jak koń młody, do rozhukanego biegu...

STEFAN ŻEROMSKI.

CYPRJAN NORWID

Byron

Urodził się on w ojczyźnie lordów i był lordem, więc miał ojczyznę: mógł przeto wielkim mężem w społeczeństwie szczęśliwem zostać. — Jak zaś pojmował to zadanie, najlepiej pokazuje pierwsza jego depesza do lorda Holland, której treść prawie dosłownie brzmi jak następuje: „Odsyłam raport, dotyczący wypadków w Nottinghamshire, przekonanie moje w zapatrywaniu się na nie jest zupełnie różne. Usprawiedliwiam zbuntowanych i staję w ich obronie. Klasa rzemieślnicza jest bardzo upośledzona, jeden człowiek przez mechaniczne środki zastępuje siedmiu, i wraz reszta pozostawiona jest bez pracy; należy się cieszyć z postępu machin, ale, Milordzie, nie godzi się, aby *machin doskonałość okupywać człowieka degradacją*“. Oto pierwsza depesza wstępującego do parlamentu angielskiego męża stanu... — Poeta!...

Urodził się on pod kotarą, w palestyńskich rycerzy godła ubraną, ale herb jego nikomu nie zawadza, zabłysnął on trzy razy tylko na trzech hełmach, gdy do Grecji wyjeżdżał... — Poeta!

Był on obdarzony wytwornością mowy i dziwnym słowa czarem, ale często w listach swoich schodzi do najniższej prozy, są albowiem listy, w których pisze o trzewikach dla emigrantów włoskich... — Poeta!

Wielkim mógł być zapewne dyplomatą, jeżeli pokolenia, zbuntowane i nie chcące służyć powstającej Grecji, *w imię Byrona tylko* przystępowały do konfederacji — jeżeli baszowie tureccy z nim się tylko znosili, tak iż do dziś szkołą byłoby dla dyplomaty rozpatrywać się, jak od pierwszej chwili przybycia do Grecji umiał Byron zażywać wszystkich języków, dla każdego stronnictwa i stanowiska zrozumiałych. — Ale do komitetu niepodległej Grecji pisząc, ten lord angielski mówi: „Myślę, że wystarczającym celem jest wolność i niepodległość narodu, że jednak u Anglików, rodaków moich, nałóg do handlarstwa i przemysłu górę bierze nad wszystkiem, tedy dołączam i *konsyderacje* o handlu angielskim w stosunku do położenia Grecji“... — Poeta!...

Poeta! — powtarzam, albowiem dyplomaci, a nawet i niedyplomaci, uważaliby raczej za stosowne rozpoczynać przez okazywanie owszem, iż nałogi i zła ojczyste są drogocenną puścizną pamiątek lub głębokiemi na przyszłość narodu widokami... — Poeta!...

Mógł on też swobodnie, jak to mówią, karjerą swoją zająć się przy jak znacznym majątku, jaki posiadał, ale on pieniędzmi długo wspierał ludzi nieszczęśliwych — potem powstający naród, a pod koniec tej Byrona służby zastawione były nawet jego książki prywatne... — Poeta.!...

Mógł nareszcie militarną karjerę wziąć za cel swój, zwłaszcza że urodzenie dawało mu już stopień w armji, co więcej, że strzelał jak Tyrolczyk, bił się na pięści jak najlepszy bokser, pływał jak nikt na świecie; ale Archistrategos przeniósł, nad to pojęcie wojska, zreformować raczej system karny w garnizonie greckim... — Poeta!...

Pierwsze słowa jego, w parlamencie angielskim powiedziane, były: „*nie poświęcajcie człowieka dla machinacyj i machin*“, ostatnie w Grecji: „*nie poświęcajcie narodu dla rutyny*“. Pomiędzy temi dwoma wszakże są całe dzieje Europy aż do dzisiaj jeszcze!

A gdy już tak na Homera ziemi „Iljadę“ wskrzesił, tedy w Fidjaszów i marmurów ojczyźnie niema jego posągu, Europa zaś literacka naucza, że bajronizmem zowiemy antyreligijny, antysocjalny, antyrealny pierwiastek. Wolę ja za Juljuszem Słowackim powtórzyć: „pobielanych grobów nie godzi się być cyprysami“ — albo westchnąć z nim razem: „żeby też jedna pierś była zrobiona nie podług miary krawca, lecz Fidjasza!“. Żeby też jedna!...

I oto jest jakoby *Ultima Thule* pieśni, albowiem Epopea tu przenikła w siebie samą, siebie w rzeczywistość odradzając. Napoleon Wielki przymuszany był pojmować kosmopolityzm *de la manière défensive*, i pobito go; ale tylko Kościuszko w Ameryce i Byron w Grecji pojmowali kosmopolityzm ze strony dodatniej i zwyciężyli też dla Ameryki i dla Grecji. —

Nie wiem, kto w 30-tym roku był tym Archistrategosem Epopei, co na sztandarach napisał „za naszą i waszą wolność“ — ale wiem, że to był on: potwierdza to albowiem kwestja włościańska, agitująca właśnie państwo rosyjskie z inicjatywy polskiej i nie gdzieindziej czerpiąca pierwotną siłę swoją.— Do Belwederu z bagnetem idzie poeta — dalej powstaje O'Connell i Lamartine — dalej jeszcze Mickiewicz we Włoszech zakłada to co się teraz robi: a przed oczami naszemi Ludwik Kossuth też samą kończy Epopeę, co się w Missolongi rozpoczęła. Dlaczego Epopea na tem Europy pasie jest większa od sił trzech gabinetów? dlaczego Mikołaj do tyla obawiał się i zabraniał poezji, do ila prochu? czyliż nieprzyjaciele nasi mają być bystrzejsi od nas samych! — O! zaiste, że służba poetów jest poważna, ale prawda ta dopiero na wstępie do epoki dzisiejszej świtać poczęła, a u bram której z Homera lirą i Leonidasa mieczem spoczął Byron, trzy słowa o sobie rzec mogący: *veni, contavi, vici*.

CYPRJAN NORWID.

Fraszki

ze zbioru Juljana Tuwima

NA MATHEMATYKA

Ziemię pomierzył i głębokie morze,
Wie, jako wstają i zachodzą zorze,
Wiatrom rozumie, praktykuje komu,
A sam nie widzi, że ma k.... w domu.

JAN KOCHANOWSKI.

RESPONS NIESPODZIEWANY

„Topić (mówił małżonek) rogacze potrzeba“.
Żona na to: „Uczyć się, miły, pływać trzeba“.

DANIEL NABOROWSKI.

MAŁŻEŃSTWO

Sameś sk....syn, k.... twoja żona,
Tak się ty djabłu godzisz jak i ona,
Gracie oboje, oboje pijecie,
Wzajem kradniecie, wzajem się bijecie.
Gdyście tak równi i tak siebie godni
Jak wiecheć zadku, czemu tak niezgodni?

ANDRZEJ MORSZTYN.

DO ŁYSEGO

Ma ryba łuskę, ptak powietrzny pierze,
Domowe bydło sierść i leśni zwierze;
Niedźwiedź kudłami, futrem się sobole,
Listem odziewa drzewo, trawą pole;
Owca bez wełny, wieprz nie jest bez szczeci.
Dlaczegóż goła głowa u waszeci?

WACŁAW POTOCKI.

NI CZCI NI WIARY

— Ni czci ni wiary w tym spróchniałym świecie;
Nihilizm, da Bóg, kiedyś to wymiecie.
— Czemuż na ten świat tak strasznieś zażarty?
— Czemu? Wszak com miał, wszystkom przegrał w karty.

ALEKSANDER hr. FREDRO.

ORYGINALNOŚĆ

Ktoś rzekł: „Do żadnej szkoły nie należę,
Nie naśladuję i w mistrzów nie wierzę.
Cóż mię nauczą Greki lub Rzymianie?
Znajomość z nimi — to naśladowanie“.
— Zgadłem twej myśli wysoki kierunek:
Chcesz głupcem zostać na własny rachunek.

LUCJAN SIEMIEŃSKI.

⁂

„Będzie to Kolumb, Dante, lub Jan Trzeci“ —
Tak słyszysz, idąc po życiowej grudzie,
O Jasiu każdym, jak o przyszłym cudzie.
A jednak — proszę — niech mię kto oświeci:
Gdzie się podziewa rozum owych dzieci,
Z których się potem robią głupi ludzie?

FELICJAN FALEŃSKI.

POBOŻNA

Zielony brzeg otaczał staw,
Tam siadło dziewczę młode,
Płakało rzewnie (Boże zbaw!)
A łzy padały w wodę.
Rybak ją pyta: „Co ci to?
Kto ciebie tak zasmucił?“.
A ona szlocha: „Bodaj go!
Kochanek mnie porzucił“.
— „Więc chcesz się topić?“ — „Nie, ach, nie!
— Odrzekła mu z pośpiechem, —
Bo wszyscy ludzie mówią mnie,
Że to jest wielkim grzechem“.

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

WOLNA WOLA

„Wolną mam wolę; dokąd pragnę latam,
Ot, z własnej chęci bujam teraz w górze!
Ot, własnej woli proch teraz zamiatam!
— Tak mówi piórko, pędzone przez burzę.

WIKTOR GOMULICKI.

SAMOLUB

Umierał raz samolub,
Z ócz łzy mu się lały...
„Ach! — jęknął —
Czemu ze mną
Nie umrze świat cały!“.

JAN LEMAŃSKI.

WIELBICIELCE SZEKSPIRA

Już od rana siadasz, dziewczę,
I Szekspira czytasz wgłos,
Jeszcze rączki nieumyte,
Rozczochrany jeszcze włos.
Ucz się, dziewczę, u Szekspira:
Mimo bardzo smutny los,
Lady Macbeth myje ręce,
Desdemona czesze włos.

LEO BELMONT.

NA PEWNEGO DYGNITARZA

Dwie są rzeczy, które czynią z pana
Typ społeczny o wartości wzoru:
Brak poczucia własnego komizmu,
Brak poczucia cudzego humoru.

MARJAN HEMAR.

ROZGŁOŚNIA

To nic, że to niszczy nerwy,
ale spójrzcie, jaka kalkulacja znakomita!
Potrzebny tylko oficer rezerwy,
gramofon, szpilka i płyta.

K. I. GAŁCZYŃSKI.